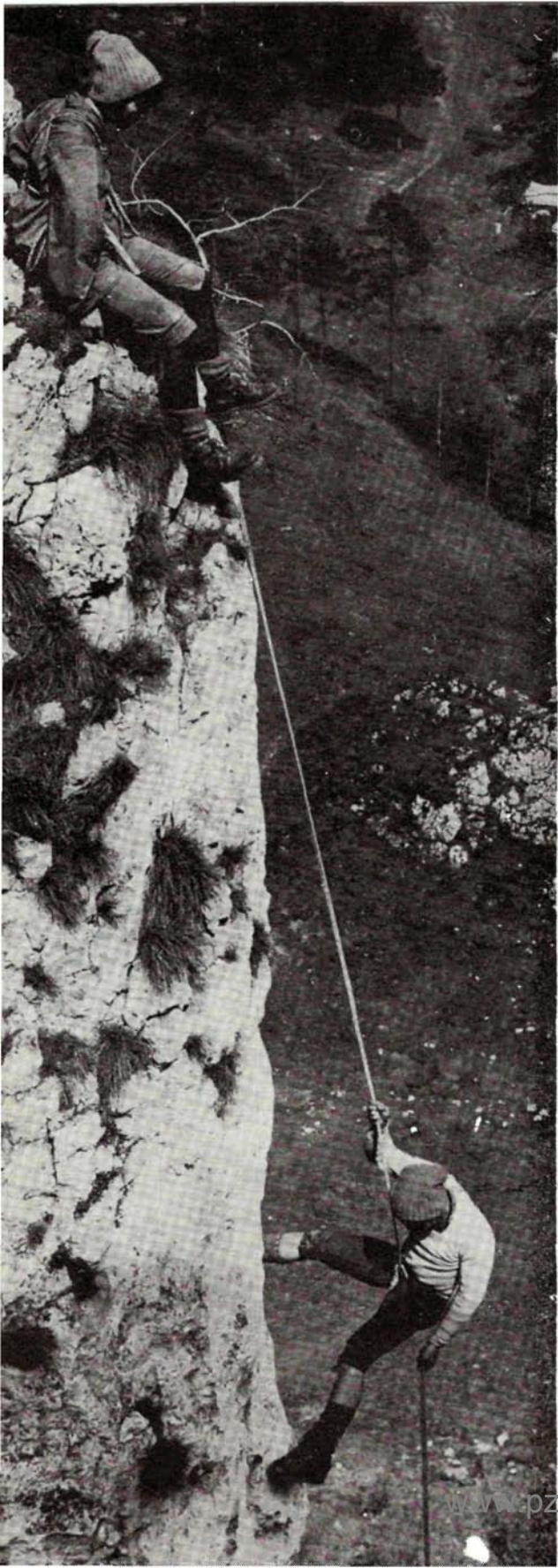




Taternik 2

www.pza.org.pl

1968



Spis treści

Droga wiedzie przez Aiguille du Midi (<i>J. Nyka</i>)	49
Ignacy Domeyko w Andach (<i>E. Echevarría C.</i>)	50
Polacy na siedmiu tysiącach (<i>J. Wala</i>)	53
Na Szczyt Engelsa wprost ścianą (<i>G. I. Szałajew</i>)	56
II Polska Wyprawa w Wysoki Atlas (<i>E. Temlak</i>)	58
Z Wysokim Atlasem — sam na sam — (<i>A. Mróz</i>)	62
Polski obóz w Alpach Retyckich (<i>H. Furmanik</i>)	64
Piz Badile 1937—1963 (<i>A. Stanoch</i>)	65
Polskie przejście ściany Piz Badile (<i>A. Skłodowski</i>)	67
Aiguille Blanche — w zimie (<i>J. Poręba</i>)	69
„Panorama Tatr” — największe malowidło tatrzańskie (<i>A. Chowański</i>)	70
Sylwester na Raptawickiej Turni (<i>B. Uchmański</i>)	74
Kazalnica, styczeń 1968 (<i>W. Jedliński</i>)	77
Zgrupowanie KDL — marzec 1968 (<i>A. Mróz</i>)	79
Śladami Polaków (<i>J. Nyka</i>)	79
Alpinizm w Estońskiej SRR (<i>P. Varep</i>)	80
Nowe drogi w Tatrach	81
Speleologia, taternictwo jaskiniowe	83
Z życia Klubu Wysokogórskiego	86
Wypadki i ratownictwo	87
Z żalobnej karty	88
W skrócie	91
Z piśmiennictwa	92
Notatki i ciekawostki	93

Przednia okładka: Gierlach, Ganek i grzań Kończystej — widok z Niżnich Rysów.

Fot. Ryszard Ziemak

W skałkach skończyła się już zima — można rozpocząć treningi. Zjazd z Wroniej Baszty.

Fot. Lucjan Saduś



Taternik

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO

Rocznik 44

Warszawa 1968

Nr 2 (199)

Droga wiedzie przez Aiguille du Midi

Ta zima nie zapowiadała się nadzwyczajnie. Problemy tatrzańskie wydawały się być wyczerpane, a wyjazd naszej ekipy w Alpy długo stał pod znakiem zapytania. Tymczasem rzeczywistość okazała się inna.

Kolejno zaczęły napływać wieści o wielkich dokonaniach w Tatrach. Droga Heinricha na wschodniej ścianie Mnicha, Raptawicka Turnia w najkrótsze dni roku, „Chrobakówka” na Kazałnicy, wreszcie droga Kowalewskiego na Młynarczyku... Drogi te — z wyjątkiem „Chrobakówki” — nie przerastały co prawda innych dotąd przebywanych zim, w przejściach pojawił się jednak element nowy: odważne ataki w grudniu i styczniu, często w małych dwójkowych zespołach, bez wielotygodniowych obłężeń i bez wstydliwych a wielce pomocnych „wędek”. Niemal wszystkie te sukcesy wiążą się ze świetnym zespołem szczecińskim — dwójką T. Piotrowski i Z. Prusisz, która ostatecznie udowodniła, co potrafi. Pod koniec marca zespół ten — wraz z J. Kiełkowskim — sięgnął po wzór *directissim*y Eigeru i w pełni zimy z powodzeniem zaatakował otwarty dotąd problem lewego skraja wschodniej ściany Kazałnicy, tzw. Wielkim Zacięciem.

Powiodł się też — choć tak spóźniony — zimowy wyjazd w Alpy. Drugie zimowe przejście północnej ściany Aiguille Blanche (s. 69) jest osiągnięciem pięknym i trwałym, stanowi przy tym jedną z „jaskółek” nowej epoki w alpinizmie zimowym: po wyczerpaniu większości najgłośniejszych problemów, włącznie z północnymi ścianami Eigeru, Grandes Jorasses i Badile, nadchodzi czas eksplorowania i powtarzania w zimie dziesiątków alpejskich dróg średniej klasy — odwrotnie niż to miało miejsce w Tatrach, gdzie największe cele zaatakowano dopiero na końcu.

Droga naszej czwórki pod ścianą Aiguille Blanche wiodła przez wierzchołek Aiguille du Midi. Odnotowujemy ten symboliczny niejako fakt dlatego, że zima 1968 otwiera jubileuszowy rok 150-lecia polskiego alpinizmu sportowego, zapoczątkowanego w r. 1818 przez Antoniego Malczewskiego ambitnym wejściem właśnie na Aiguille du Midi, a po paru dniach — na najwyższy szczyt Europy, Mont Blanc, z którym wiąże się tyle już pięknych dokonań ekip Klubu Wysokogórskiego w ostatnich latach. Napiszemy o tych sprawach obszerniej w letnim numerze „Taternika” — numerze, który będzie dwusetnym z kolei, a więc jubileuszowym również dla naszego pisma.

J. Nyka

Ignacy Domeyko w Andach

EVELIO ECHEVARRIA C.



Ignacy Domeyko. Inny jego portret — z r. 1885 — zamieścił „Taternik” w swym zeszytzie andyjskim (3-4/1956 s. 82).

Bogata działalność alpinistyczna Ignacego Domeyki nie doczekała się jeszcze kompleksowego opracowania, chociaż ze wszelkich miar na nie zasługuje. Nie jest również takim opracowaniem artykuł, który drukujemy niżej — napisany specjalnie dla „Taternika” i bardzo dla nas cenny, gdyż oparty na źródłach polskim autorom dotąd nie znanych. Nie uwzględnia on co prawda pewnej części wysokogórskiego dorobku naszego znakomitego rodaka, wnosi jednak do tego, co u nas publikowano, spore partie materiału nowego, a zarazem istotne nasświetlenia i sprostowania. Syntezę dotychczasowej naszej wiedzy o dokonaniach alpinistycznych Domeyki zawiera opracowanie J. A. Szczepańskiego „Co Domeyko zwiedził w Kordyliarach?”, zamieszczone w „Wierchach” 1964 s. 259—260. (Red.)

Polak Ignacy Domeyko (1802—1889) znany jest dobrze w Ameryce Południowej jako założyciel uniwersytetu w Chile, jednej z najlepszych uczelni południowoamerykańskich, a także jako badacz, który przyczynił się do poznania złóż mineralnych młodej podówczas Republiki Chińskiej. Zarówno w świecie, jak i w Chile mało kto wie jednak, że Domeyko był również alpinistą, i to jednym z pierwszych na obszarze Ameryki Południowej. Wiadomości o wysokogórskich wyprawach Domeyki zostały zebrane przez autora niniejszego artykułu na przestrzeni ostatnich lat — w czasie badań nad historią andynizmu, przeprowadzonych na zlecenie Federación de Andinismo de Chile.

Przedstawiamy polskim czytelnikom krótkie omówienie działalności wysokogórskiej Domeyki na podstawie jego własnych pism. Podobna praca ukaże się wkrótce w jednym z chilijskich czasopism alpinistycznych.

W r. 1837 Domeyko — przebywającemu wraz z A. Mickiewiczem na emigracji w Pa-

ryżu — przedstawiciel rządu chilijskiego zaproponował stanowisko wykładowcy chemii i mineralogii. Skłoniło to Polaka do podjęcia podróży na południowoamerykański kontynent. Szkoła, w której wykładał, położona była u stóp Andów, Domeyko nader szybko więc zaznajomił się z wysokimi górami swojej nowej ojczyzny. Odbił liczne wyprawy, głównie w celach naukowych; dokonywał też wejść na szczyty i wysokie przełęcze. We wszystkich jego opisach przebiega zafascynowanie pięknem gór i głębokie odczucie potęgi krajobrazu górskiego. Jasne jest, że wyprawy które podejmował przed przeszło wiekiem dziś mają już tylko historyczne znaczenie, były bowiem później wielokrotnie powtarzane. Do tych przedsięwzięć należy jednak przykładać miarę czasów, kiedy w Alpach nie myślano jeszcze nawet o próbie zdobycia Matterhornu.

A oto przegląd niektórych dokonań wysokogórskich Domeyki.

W r. 1842 podjął on wyprawę zwiadowczą do doliny rzeki Cachapoal w środkowej częś-

ci Chile.^{*)} Badając lodowiec Cipreses ustalili najniższy jego zasięg na 1600 m (dziś 2400 m^{**)}.

Dla swych naukowych celów wspinał się na stoki i skaliste ostrogi, osiągając wysokość 2805 m.

W marcu 1843 odbył podróż do pustynnej części Andów w północnych rejonach Chile – niedaleko na południe od obszaru, na którym w bez mała sto lat później miała działać II Polska Wyprawa w Andy w r. 1937. Celem ekspedycji Domeyki było zwiedzenie kilku kopalń. Wszedł on do dolin rzek Pulido i Turbio i wspinał się na graniczną przełęcz Mata Caballos (4506 m). W dolinach odnalazł ruiny wioski indiańskich a także stare indiańskie napisy wyrzeźbione w skałach. W lutym 1844 r. ponownie odwiedził północną część Chile. Penetrował tu doliny położone w głąb lądu od La Serena, osiągając wysoko wzniesione rejony Fortuna i przełęcz Laguna (4747 m). W swych spokojnych i powściągliwych w tonie sprawozdaniach ostrzegł przyszłych podróżników, by nie wchodzili na ten grzbiet później niż o godzinie 12, gdyż po tym czasie wieją tam straszliwe wiatry.

W lutym 1845 roku próbował zdobyć Antuco (2985 m), złodowaony wulkan w południowym Chile, położony w głąb lądu od miast Concepcion i Los Angeles. Myśl o zbadaniu tego wulkanu nasunęło mu niewątpliwie sprawozdanie niemieckiego podróżnika, Eduarda Poeppiga (Reise in Chile, Peru und auf dem Amazonasstrome während der Jahre 1827–1832). Od czasu podróży Poeppiga wulkan był czynny, a Domeyko niezmiernie interesował się wulkanami. Szczególnie pociągały go solfatarie, wyziewy jakich w Chile było i jest niemało. W czasie swej podróży na Antuco szczególnie odnalazł tego samego górala, nazwiskiem Becerra (w „Moje Podróże” błędnie „Beserra”), który towarzyszył Poeppigowi w jego wędrówce w r. 1828. U Becerry zasięgnął Domeyko ważnych informacji o topografii trasy. Podejście na Antuco rozpoczął 2 marca 1845 r. w towarzystwie innego górala i jednego ze swych studentów, Manuela Munizagi. Linie śniegów, a właściwie lodowiec, napotkali na wysokości 2019 m (według własnych pomiarów). Na wysokości 2520 m góral odmówił pójścia dalej i nie bez powodu: w lodowcu pojawiły się szczeliny, a wulkan – w pełni swej działalności – miotał kamieniami i wyrzucał siarkowe wy-

ziewy. Domeyko i Munizaga szli dalej. Oto jak pierwszy z nich opowiada o próbie dotarcia do wierzchołka: ^{*)}

„Było około godziny 11 przed południem, kiedy dotarliśmy w pobliże szczytu wulkanu. Znaleźć drogę w stronę południa czy północnego wschodu było zupełnie niemożliwe, a zachodni wiatr jaki w tym czasie wiał z wielką gwałtownością, porywał z krawędzi krateru skały i żużle, które toczyły się koło nas i w dół z przerażającą szybkością i hałasem. Mimo tego pięliśmy się w górę po zboczach pokrytych żużlowatą lawą i po lodzie, mokrym i śliskim od słońca, co powodowało częste upadki. Dotarliśmy na wysokość około stu metrów poniżej krateru i wierzchołka i tam natknęliśmy się na nie do przebycia szczeliny. Do zatrzymania się zmusiły nas także wielkie kamienie przelatujące nad głowami. Ukrywając się pod głazem odpoczęliśmy, a ja wykorzystałem to miejsce aby wyjąć mój barometr. Pokazywał on 551,4 mm przy temperaturze 13 stopni, co oznacza wysokość 2718 metrów. Na tej podstawie przypuszczam, że sam wierzchołek, który corocznie zmienia swój kształt i wysokość, nie przerasta 2300 metrów.

Naszemu niebezpiecznemu zejściu towarzyszyła burza, kłębiąca się nad głowami, powtarzające się co dziesięć, piętnaście minut wybuchy, podziemne pomruki, wstrząsy i drgania skorupy ziemskiej, nieustanny deszcz popiołów i żużlu, kłęby pary i przelatujące ze świstem skały”.

Dziłem Domeyki są dokładne studia nad Volcan Antuco. Własne niepowodzenie zdobywcze powetował on sobie choć w części, wysyłając w r. 1863 wyprawę marynarzy chilijskich pod dowództwem kapitana Manuela Thompsona, której to wyprawie udało się wejść na wierzchołek góry. Na podstawie nowoczesnych pomiarów wysokość jej wynosi 2935 m, co oznacza, że Domeyko dotarł do wysokości około 2900 m.

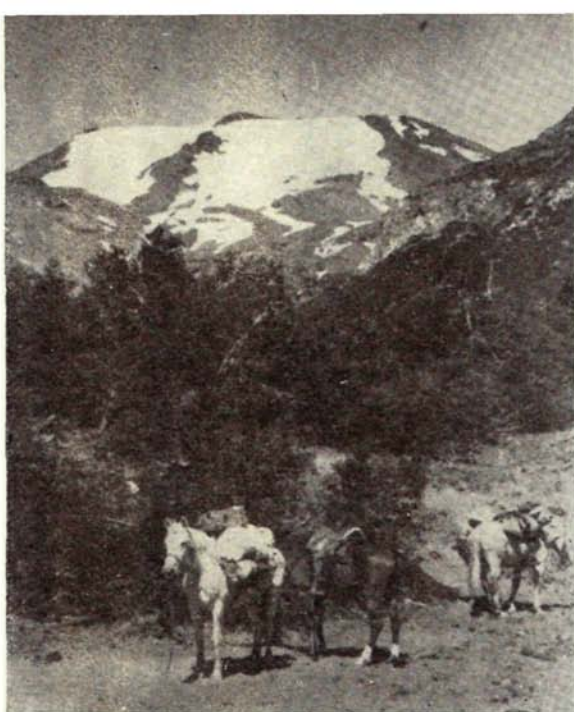
W r. 1848 spędził Domeyko kilka miesięcy w rejonie gór wulkanicznych Descabezados (3830, 3260 m) oraz w grupie wulkanów Planchón (4000 m). Wydaje się, że dotarł on do krateru nowego wulkanu, lub może tylko do przełęcz na wysokości 2887 m w pobliżu Descabezado Grande.

W lutym 1848 r. odbył swoją najważniejszą wyprawę, dzięki której wszedł na trwałe do historii andynizmu. Udał się on na południe do ciepłych źródeł położonych u stóp Nevado de Chillán (3180 m), znanego też pod nazwą Cerro Nevado („Śnieżny szczyt”). Wejście i zejście z tej góry jest łatwe, chociaż ze wszystkich stron otaczają ją grube lodowce.

^{*)} Autor nie wspomina o działalności górskiej Domeyki w latach 1839–42, która objęła m. in. Cordillera Coquimbo, Cordillera Domeyko i Cordillera Huasco, a także góry w prowincjach Talca i Chillán. (Red.)

^{**)} Błąd tego rzędu w obliczeniach Domeyki jest raczej wykluczony. Chodzi zapewne o cofanie się zasięgu lodów, podobnie jak to ma miejsce w Alpach i innych górach naszej półkuli. (Red.)

^{*)} Wersja obszerniejsza: „Moje podróże” t. II s. 542. Tam też rycina przedstawiająca wulkan – t. III po s. 16. (Red.)



Nevado de Chillán (3180 m) widziany od strony wschodniej. Droga Domeyki wiodła z południowego zachodu.

Fot. Humberto Barrera (Santiago)

Bez mała w sto lat później, w r. 1937, na szczyt ten dotarli chilijski glaciolog, Humberto Barrera wraz z niemieckim botanikiem K. Grandjotem i jego żoną. Sądono wówczas, że dokonali oni pierwszego wejścia, nie było bowiem wiadome, i dowiedziano się dopiero przed kilku laty, że 60 lat wcześniej na szczycie Nevado de Chillán stanął Ignacy Domeyko^{*)}.

Podszedł on od strony gorących źródeł, minął zalesione wzgórza i ruszył ku wierzchołkowi. Podaje opis swej drogi: „Skoro tylko skończył się las, stanęliśmy przed Cerro Nevado w niewielkiej odległości od jego lodowców. Jednocześnie poczuliśmy nieprzyjemny zapach, jakby zepsutych jaj, dochodzący z pobliskiego wąwozu...” Teraz zaczął podejście od wulkanicznej doliny Niebla i jej połączenia z rzeką Renegado: „Wspinając się od tej

^{*)} W polskiej literaturze wejście to nie zostało należycie ocenione. II tom „W skałach i lodach świata” (1961) wymienia je wśród innych na s. 17, ale nie wyróżnia go w wykazie „Ważniejsze polskie osiągnięcia alpinistyczne” na s. 376. Indeks do „Moich podróży” (tom III) – ogólnie biorąc ubogich w szczegóły dotyczące wędrówek po górach – nomenklatury Nevado de Chillán (Cerro Nevado) nie obejmuje w ogóle. Fakty te pozwalają stwierdzić, że życiorys Domeyki może kryć w sobie nadal zagadki o pierwszorzędnym dla historii naszego alpinizmu znaczeniu. (Red.)

strony na szczyt Cerro Nevado, spotykamy takie same kawałki obsydianu, jakie zobaczyć można w dolinie Invernada w grupie gór Descabezados. Gdy osiągnęliśmy obszar wiecznego lodu, jakieś 1000 m od szczytu zauważyliśmy lawę i materiał pochodzący z wybuchów wulkanicznych, podobny do materiału skalnego grupy Descabezado, lecz różniący się od law Antuco...” Sam szczyt, do którego dotarli raczej bez poważniejszych trudności, tak opisuje: „Cały wierzchołek Cerro Nevado wydaje się być zbudowany ze zlepionca obsydianowego i perlitu; jednak pokrywa go rozległa powłoka wiecznego lodu, wśród której widać tu i ówdzie przebijające się pionowo skały, których nie może pokryć śnieg. Ponieważ opuszczając gorące źródła rozbiłem swój barometr, nie mogłem określić wysokości linii śniegu ani wierzchołka Cerro Nevado. Lecz za to mogłem stąd obserwować Cerro del Azufre i dziwne zjawiska, jakie mają miejsce wokół tego szczytu...”

Cerro del Azufre („Siarczany szczyt”) jest wulkanem położonym w bliskim sąsiedztwie. Ma on 2700 m wysokości, a jego wybuch nastąpił niedawno przed wejściem Domeyki na Cerro Nevado, skąd też poczynione zostały wszystkie możliwe obserwacje geologiczne Cerro del Azufre. O osobistym zainteresowaniu Domeyki rozwojem gospodarczym Chile świadczy następująca uwaga: „Z powierzchni tej góry można otrzymać tysiące ton siarki, którą należy tylko poddać rafinacji, aby mogła być używana w przemyśle. Faktem jest, że w górze tej Chile posiada drogocenną kopalnię siarki, która mogłaby być eksploatowana z korzyścią...”

Po dokonaniu tego wejścia Domeyko wrócił do ciepłych źródeł, zachwycając się okolicznymi krajobrazami: „Jeżeli zapagniemy widoków innego rodzaju, kontrastujących z tymi górami, w których lód spotyka się z ogniem, (...) spróbujmy zagłębić się znów w lasy (...) Nie ma takich uroków kamienno-roślinnego królestwa Andów, których próbki nie spotkalibyśmy w tym miejscu...”

W lutym 1861 r. wraz ze swoim uczniem i towarzyszem Wenceslao Diaz podjął wyprawę w rejon Morro del Azufre (4300 m), położony na wschód od miasta San Fernando i znany dzisiaj jako wulkan Tinguiririca. Dotarł do wysokości 3000 m zwiedzając solfatarę i niektóre niżej położone lodowce. Opierając się prawdopodobnie na poglądzie francuskiego geologa Claude Gaya, który już przed nim badał wulkan, Domeyko sądził, że sam szczyt jest niedostępny.

* * *

Wydaje się, że na tym kończą się wyprawy górskie uczonego, nie kończą się jednak jego usługi dla andynizmu. Chcąc otrzymać próbki skał i minerałów, Domeyko wysłał

szereg ekspedycji na pokryte lodem, burzliwe wulkany południowego Chile. Ekspedycje te zdobyły kilka szczytów: Antuco w r. 1863, a w kilka lat później — Calbuco (2015 m). Spenetrowały one też wiele lodowców. Relacje z tych wypraw, jak i opisy Poeppiga i samego Domeyki są pierwszymi znanymi dokumentami działalności wspinaczkowej w Chile.

Dokonania wysokogórskie Domeyki trzeba ocenić według właściwych kryteriów. Jak już powiedziano, prawdą jest, że szczyty, które

zdołał się dziś dobrze znane i łatwo dostępne. Ale nie można zapominać, że Domeyko zdobywał je sto lat temu, w nieznanym kraju, opisanym tylko przez Poeppiga, Humboldta i Bonplanda. Przyświecały mu cele naukowe, jednak zarówno jego wrażliwość na piękno krajobrazu, jak i sportowe podejście sprawiają, że nie możemy uważać go tylko za naukowca. W rzeczywistości w pełni zasługuje on na miano pioniera andynizmu w Chile, a zarazem jednego z pionierów odkrywczego alpinizmu polskiego.

Tłum. Grażyna Niemczynow-Burchart

Użyta literatura

- Domeyko I.*: Memoire sur la composition géologique du Chile. E. Thunot, Paris, 1848.
Domeyko I.: Viaje a la Cordillera de Talca y Chillán. Universidad de Chile — „Anales”, 1850, ss. 9–29; 47–74.
Domeyko I.: Excursion a las Cordilleras de San Fernando hechas en Febrero 1861 por Domeyko y don Wenceslao Diaz. Universidad de Chile — „Anales”, 1861, s. 163–166.
Domeyko I.: Exploraciones de las lagunas de Llanquique, Pichilaguna, volcanes Osorno, Calbuco. Universidad de Chile — „Anales”, 1862, s. 22–42.
Domeyko I.: Jeologia. Imprenta Cervantes. Santiago, 1903.

- Domeyko I.*: Moje podróże (pamiętniki wygnanica). Redakcja: Helena Nieciowa. Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław. Tom I (1962) s. 256; tom II (1963) s. 560; tom III (1963) s. 339.
Juliet C.: Informe del Ayudante de la Comisión exploradora del Sur. Universidad de Chile — „Anales” 1872 s. 357–389.
Thompson M.: Exploración del Bio-Bio. Universidad de Chile — „Anales”, 1863, s. 147–150.

Tomy 90–92 (1953) „Anales” Uniwersytetu w Chile są w całości poświęcone Ignacemu Domeyce w związku ze 150 rocznicą jego urodzin, obchodzoną w 1952 roku.

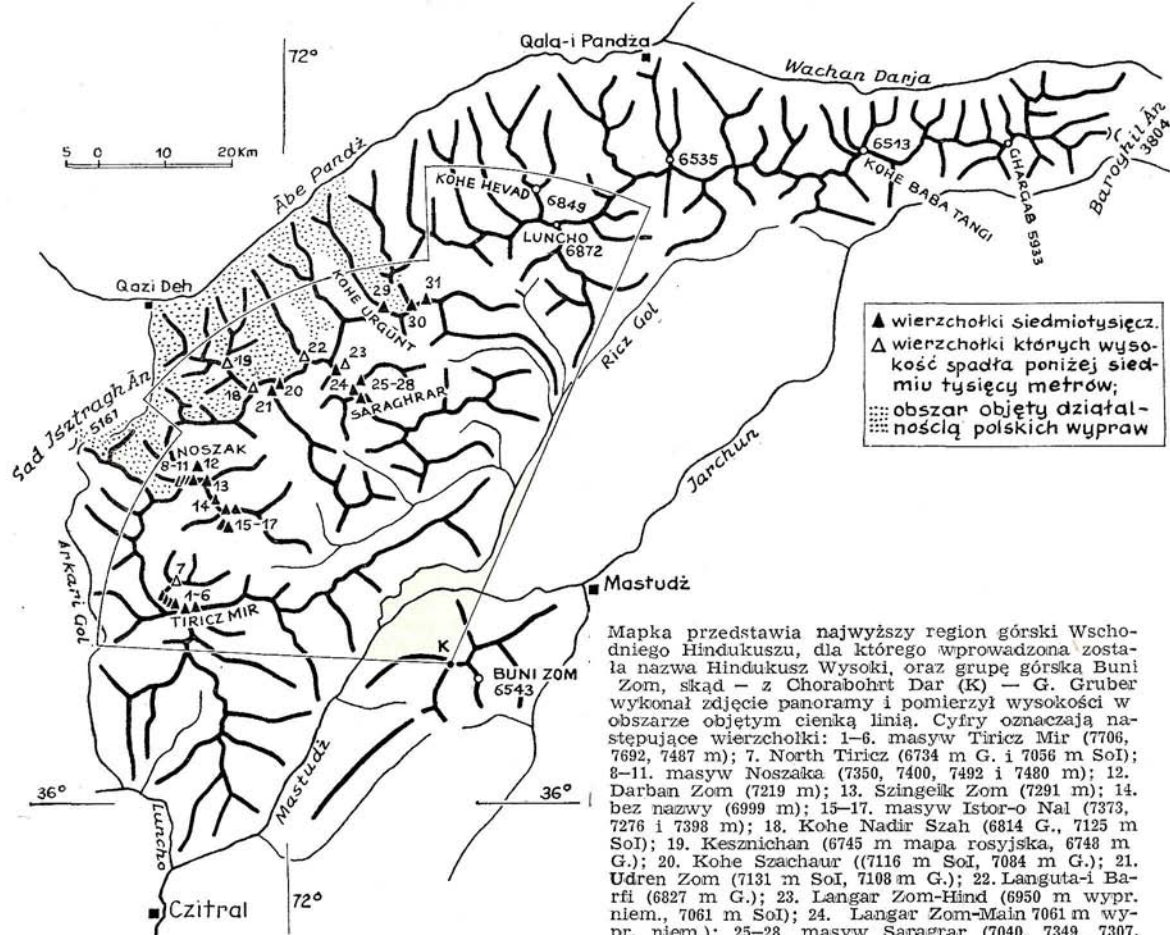
Polacy na siedmiu tysiącach

JERZY WALA

O ogólnym poziomie alpinizmu w danym środowisku lub kraju świadczą osiągnięte wyniki. Mogą one być rozpatrywane różnie. W zdobywaniu szczytów gór wysokich, uważanych w przeszłości a niekiedy jeszcze i dzisiaj za egzotyczne, ważną rolę gra wysokość bezwzględna. Stosunkowo niewielka ilość szczytów powyżej ośmiu i siedmiu tysięcy metrów oraz wymagania stawiane na nich organizmowi człowieka przez warunki bioklimatyczne, stały się przyczyną umownego wyodrębnienia wejść na te szczyty w osobne kategorie. Jakość i ilość wejść w tych kategoriach świadczy o poziomie danego środowiska alpinistycznego. Dlatego nader istotne znaczenie ma dla nas pytanie, na ilu siedmiotysięcznych szczytach byli Polacy.

Z okresu przedwojennego, po ostatecznej degradacji szczytu Aconcagua, mamy jedno

wejście na Nanda Devi East (7434 m). Po wojnie okazją do uzyskania wejść w tej kategorii stały się cztery wyprawy Klubu Wysokogórskiego w Hindukusz, ale brak dokładnych map i pomiarów spowodował powstanie sytuacji podobnej do tej, jaka wytworzyła się wokół kwestii wysokości Aconcagua, czy Nevado Ojos del Salado. Dlatego warto przypomnieć słowa W. H. Paryskiego z „Taternika” nr 3—4/1956, s. 144: „Bardzo powszechnym i charakterystycznym dla alpinizmu zjawiskiem — mającym swe podłoże m. in. w rywalizacji i ambicji sportowej — jest postępowanie alpinistów, gdy wysokość zdobytych lub zdobywanych przez nich szczytów jest sporna lub niepewna. W ogromnej większości wypadków zainteresowany alpinista z dwóch czy więcej liczb podanych w różnych źródłach jako wysokość jego szczytu, wybiera tę największą,



Opracowanie i rysunek: Jerzy Wala

Mapka przedstawia najwyższy region górski Wschodniego Hindukuszu, dla którego wprowadzona została nazwa Hindukusz Wysoki, oraz grupę górską Bunizom, skąd – z Chorabohrt Dar (K) – G. Gruber wykonał zdjęcie panoramy i pomierzył wysokości w obszarze objętym cienką linią. Cyfry oznaczają następujące wierzchołki: 1–6. masyw Tiricz Mir (7706, 7692, 7487 m); 7. North Tiricz (6734 m G. i 7056 m SoI); 8–11. masyw Noszaka (7350, 7400, 7492 i 7480 m); 12. Darban Zom (7219 m); 13. Szingelk Zom (7291 m); 14. bez nazwy (6999 m); 15–17. masyw Istur-o Nal (7373, 7276 i 7398 m); 18. Kohe Nadir Szah (6814 G., 7125 m SoI); 19. Keszniczan (6745 m mapa rosyjska, 6748 m G.); 20. Kohe Szachaur ((7116 m SoI, 7084 m G.); 21. Udren Zom (7131 m SoI, 7108 m G.); 22. Languta-i Barfi (6827 m G.); 23. Langar Zom-Hind (6950 m wypr. niem., 7061 m SoI); 24. Langar Zom-Main 7061 m wypr. niem.); 25–28. masyw Saraghrar (7040, 7349, 7307, 7209 m); 29. Kohe Urgunt (7038 m SoI, 7016 G.); 30. Kohe Tez (7015 m SoI, 6995 m G., 6994 AMS 1301); 31. Achir Tszagh (7020 SoI, 7017 G.).

a już jeżeli cyfry wysokości wahają się około magicznej liczby 7000 lub 8000 m – to chyba nie zdarzyło się, aby osobiście w ten czy inny sposób zainteresowany alpinista nie upierał się przy cyfrze powyżej owej tak ważnej dla niego granicy 7000 lub 8000 m”.

W r. 1965 działała w grupie Bunizom sześciuosobowa wyprawa Sektion Graz des ÖAV. Poza wspinaniem się i pracami geologicznymi, jej kierownik Dr Gerald Gruber przewidział w programie powtórzenie nowoczesnym sprzętem panoramy fotograficznej J.R.G. Fincha z r. 1938 oraz dokonanie pomiarów kontrolnych wysokości ważniejszych szczytów w obszarze objętym tą panoramą, a więc wznoszących się na odcinku grani głównej Hindukuszu Wysokiego, pomiędzy Tiricz Mir (Tirich Mir) a Luncho (Lunkho) i oddalonym od stanowiska pomiarowego o około 50 km. Stanowisko to wybrał na Chorabohrt Dar (Khorabohrt Dar) o wysokości 5690 m, nieco na zachód od miejsca, z którego wykonał zdjęcie

panoramy Finch. Przy opracowaniu wyników wykorzystał do pomiarów kontrolnych zdjęcia wykonane przez alpinistów austriackich ze szczytów Hindukuszu Wysokiego. Zdjęcie panoramy wykonane zostało aparatem Exakta z teleobiektywem 240 mm i powtórzone aparatem Bessa II 6×9.

Pomiarów kątów poziomych i pionowych (kątów położenia) dokonał G. Gruber z pomocą nowoczesnego małego teodolitu DKM1, umieszczonego na specjalnie przystosowanym statywie. Podstawą były arkusze mapy półcałowej 1:126 720 wydanej przez Survey of India w 1931 r., a dla Kiszmi Chana (Keshnikhan) – nasz szkic orograficzny. Szczegóły pomiarów i trudności na jakie natrafiał G. Gruber przy ich opracowaniu znajdzie czytelnik w jego artykule „Hinduraj-Hindukusch 1965” w „Jahrbuch des Österreichischen Alpenvereins” t. 91, r. 1966. Na ogół uzyskane wyniki nie odbiegają od wartości kot podanych na wspomnianej mapie Survey of India.

Poważniejszej korekcie muszą ulec wysokości tylko niektórych szczytów, niestety m. in. tych, na które były dokonywane wejścia polskie.

Gruber nie zmierzył wysokości wierzchołków masywu Noszaka (Noshaq), gdyż był on zasłonięty przez Istor-o Nal. Tutaj, można przypuszczać, nie byłoby jakiegś zasadniczej zmiany. Mapa Survey of India podaje wysokość kulminacji 7492 m, mapa radziecka 1:1 000 000 Pamir I-43 z r. 1954, najdokładniejsza w tym obszarze ze znanych mi map tej wielkości — 7455 m. Wszystkie więc wierzchołki Noszaka, pomimo braku dokładnych pomiarów, wznoszą się powyżej siedmiu tysięcy metrów.

Pozostałe szczyty osiągnięte przez Polaków i uważane dotychczas za siedmiotysięczne, spadły według wyników uzyskanych przez Grubera poniżej tej granicy:

Kuh-e Nadir Shah (Kohe Nadir Shah) z 7125 m na 6814 m. Już w czasie trwania II PWH 1962 i austriackiej wyprawy w r. 1964 zauważono, że jest on niższy od swoich sąsiadów — Kuh-e Szachaur (Kohe Shakhawr) 7116 m oraz Udren Zom 7131 m. Pytanie, które z tych kot są błędne, skłoniło G. Grubera do przeprowadzenia omawianych pomiarów. Dla tych ostatnich szczytów uzyskał on wyniki 7084 m i 7108 m.

Kuh-e Kiszmi Chan (Keshnikhan) spadł z 7177 m (według danych III PWH 1963) do 6748 m. Potwierdza tę wysokość kota 6745 m na wspomnianej mapie radzieckiej, zaś Gruber zwraca uwagę na fakt, że aby szczyt mógł posiadać wysokość 7177 m, musiałby się znajdować w odległości 16 km na północ od grani głównej, a więc w okolicy Doliny Ab-e Pandz. Pomiary kontrolne ze zdjęcia R. Weissa — wykonanego z Kuh-e Kiszmi Chan (Kohe Keshnikhan) w kierunku Tiricz Mir (Tirich Mir), Noszak (Noshaq) i Kuh-e Mandaras, dają wysokość 6730 m. Nie jest on więc najwyższym, całkowicie afgańskim szczytem, spadając prawdopodobnie na trzecią pozycję po Kuh-e Hevad (6849 m), położonym bardziej na wschód, i Kuh-e Bandaka (6843 m) w Środkowym Hindukuszu. Za najwyższy

szczyt Afganistanu można uważać Noszak (Noshaq, 7492 m), gdyż na podstawie dokładnej obecnie znajomości topografii masywu, nie ma powodu uważać, że grań główna odbiega na północ z jego zachodniego wierzchołka; natomiast przebieg granicy państwowej nie jest tu ściśle ustalony.

Languta-i Barfi spada z 7016 m na 6827 m. Szczyt ten jest dobrze widoczny ze stanowiska pomiarowego, G. Gruber nie podaje jednak na podstawie czego oznaczył jego położenie, gdyż mapa Survey of India go nie obejmuje.

Dla **Kuh-e Tez** (7015 m) Gruber otrzymał wynik 6995 m, co mieści się w granicach błędów pomiarów, wynoszącego 25 m. Nie jest to jednak odosobniona liczba, gdyż mapa amerykańska AMS 1959 podaje 6994 m. Mimo to Gruber zalicza ten szczyt do grupy siedmiotysięcznych.

Nie mając podstaw do wątpienia w rzetelność omówionej pracy, trzeba będzie się pogodzić z faktem, że Polacy weszli tylko na dwa samodzielne 7-tysięczniki w Hindukuszu, a na pięć, przy rozróżnieniu poszczególnych wierzchołków Noszaka. W tym tylko Kuh-e Tez jest wierzchołkiem, na którym stanęli jako pierwsi.

Pomiary III PWH 1963 wykonane ze zbyt bliskich i niskich stanowisk przy przypuszczalnie błędnym przyjęciu odległości topograficznych, a także wyniki uzyskane czy to z pomocą aneroidów, czy klizymetrów, nie mówią już o ocenie na oko, nie dały pozytywnych rezultatów. Warto zwrócić uwagę, że klizymetr jest w miarę ścisły tylko przy posługiwaniu się nim na odległość kilkudziesięciu metrów.

Tak więc błędna kota 7125 m na mapie Survey of India oraz oceny wysokości sąsiednich szczytów, co miało wpływ na wybór celów, obok powtarzającego się późnego przyjazdu naszych wypraw w teren działania, pozbawiły Polaków, pomimo czterech wypraw, wielkiej szansy uzyskania pierwszych wejść na szczyty siedmiotysięczne. Mamy więc ich tylko dwa — pewny Nanda Devi East oraz problematyczny Kuh-e Tez.

Młynarczyk w zimie

Efektownym przejściem zakończyła się kalendarzowa zima 1967/68 w Tatrach. W dniach 9 i 10 marca czwórka J. Kiełkowski (Kraków), T. Piotrowski, Z. Prusisz (oba ze Szczecina) i K. J. Rusiecki (Warszawa) dokonała w ładnym stylu przejścia drogi Kowalewskiego na Młynarczyku. Dzięki dobrym warunkom, prawie całe trudności pokonano pierwszego dnia, zresztą wspinając się przy latarkach

do godziny 2 w nocy. Biwak był przykry, gdyż plecak ze sprzętem puchowym uwiązał w przewieszonych kosówkach i zdołano go wydobyć dopiero rano. Zespół ukończył drogę o godz. 10.30 — wśród wzmagającej się śnieżycy i zawieruchy. Jest to zarazem pierwsze w ogóle zimowe przejście ściany, której zerwy zostały przebyte dopiero w r. 1960 („Taternik” 2/1961 s. 89), a do dziś mają 3 drogi i ogółem zaledwie 4 przejścia letnie. (jn)

Wejścia wysokościowe drogami o ekstremalnych trudnościach nie są dziś w Związku Radzieckim czymś wyjątkowym. A przecież zapoczątkowano je zaledwie kilka lat temu — jednym z pierwszych było zdobycie północno-wschodnich urwisk Szczytu Engelsa w Pamirze w r. 1964. O krótki opis tego właśnie dokonania — dziś już historycznego — poprosiliśmy naszego radzieckiego współpracownika, G. I. Szalajewa, który osobiście w nim uczestniczył.

GENNADIJ I. SZALAJEW

Na Szczyt Engelsa — wprost ścianą

W roku 1964 w rejonie Piku Engelsa (6 510 m) działała wyprawa Centralnej Rady DSO „Spartak”, kierowana przez zasłużonego mistrza sportu, W. M. Abalakowa. Głównym celem wyprawy było I wejście na ten szczyt od północnego wschodu, ścianą wznoszącą się między rzędnymi 5 600—6 200 m. Miało to być zarazem pierwsze radzieckie przejście ściany na takiej wysokości.

Alpiniści, tworzący zasadniczy skład grupy, posiadali już bogate doświadczenie w pokonywaniu ścian w Kaukazie, a wielu z nich zajmowało nagradzane miejsca we współzawodnictwie alpinistycznym w klasie wejść technicznie kombinowanych.

Wyprawa działała w rejonie Piku Engelsa przez 14 dni, cały czas przy sprzyjającej pogodzie. Obóz bazowy został rozbity na wyso-



Zdobywcy północno-wschodniej ściany Szczytu Engelsa. Stoją od lewej: Jakowina, Szalajew (autor artykułu), Klecko, Kustowski i Jakowienko.

Fot. W. L. Czerewko

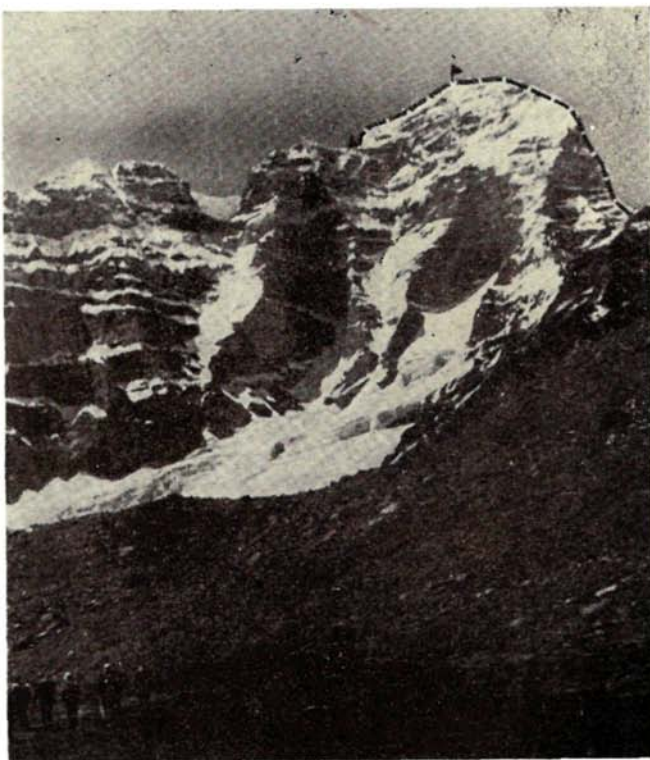
kości 4 000 m w malowniczej dolinie. Pierwsze 30 dni poświęcono na aklimatyzację: rekonesansowe wypadki pod szczyt, organizację obozów pośrednich, sprawdzanie łączności, badanie dróg wejścia i zejścia. Dokonano również dwóch treningowych wspinaczek na najbliższe sześciotysięczniki. Dzięki niewielkiemu oddaleniu od osady Lengar, możliwe było dobre zaopatrywanie bazy w świeże produkty żywnościowe.

Abalakow przez cały czas obserwował formę każdego uczestnika, a szczególnie tych, którzy mieli przeprowadzić atak szczytowy. W pierwotnych założeniach przewidywano, że grupa szturmowa będzie się składała z 8 osób. Faktycznie jednak weszło do niej 6 osób, ponieważ lekarz wyprawy wycofał 2 uczestników ze względów zdrowotnych. Oto ostateczny skład grupy szturmowej: A. A. Kustowski (mistrz sportu — Kijów), W. Jakowina (mistrz sportu — Kijów), G. I. Szałajew (mistrz sportu — Lwów), K. Klecko (mistrz sportu — Leningrad), W. L. Czerewko (mistrz sportu — Kijów) oraz J. Jakowienko (alpinista I klasy — Kijów). Kierownictwo powierzono A. A. Kustowskiemu.

Do ostatecznego ataku grupa szturmowa przystąpiła w pierwszych dniach sierpnia. Podejście z bazy na przełęcz Nispar (5 600 m) zajęło 2 dni, gdyż każdy członek zespołu dźwigał plecak o wadze 32—34 kg. Podczas dojścia na przełęcz pokonywano liczne szczeliny lodowcowe. Wspinaczka z przełęczy do kopuły śnieżno-lodowej (6 150 m, na zdjęciu dobrze widoczna) trwała 6 dni, trzeba było bowiem pokonać niezwykle stromy cokół skalny o wysokich trudnościach. W trakcie wspinaczki niemal cały czas korzystano z platform i ławeczek (zob. „Taternik” 1/1967 s. 38), wbito też ok. 80 haków podciągowych. Używano polskich i niemieckich 60-metrowych lin, które spisywały się bardzo dobrze.

Grupa szturmowa podzielona była na 3 ścisłe z sobą współpracujące zespoły dwójkowe: podczas gdy pierwszy zespół posuwał się do przodu, drugi odpoczywał, wyciągał plecaki i przygotowywał posiłki, a trzeci podchodził od dołu (ostatni wspinacz wybijał haki i drewniane kołki). Z siedmiu nocy przebytych w ścianie, dwie spędzono w płachtach biwakowych. Używano odzieży puchowej i wełnianej oraz polskich butów na podszewie wibramowej, impregnowanych parafiną. Posiłki gotowano dwa razy na dobę na austriackim prymusie „Phöbus” (spisywał się wspaniale). Używano pokarmów wysokokalorycznych, ciężko jedynie było z wodą.

Po osiągnięciu skraju kopuły, w ciągu trzech dni grupa posuwała się po ostrej, długiej grani ze śnieżnymi nawisami (bardzo puszysty śnieg) aż do samego szczytu. Schodzono na południe do przełęczy Nepsar (5 890 m), w kierunku Szczytu Marksa. Po



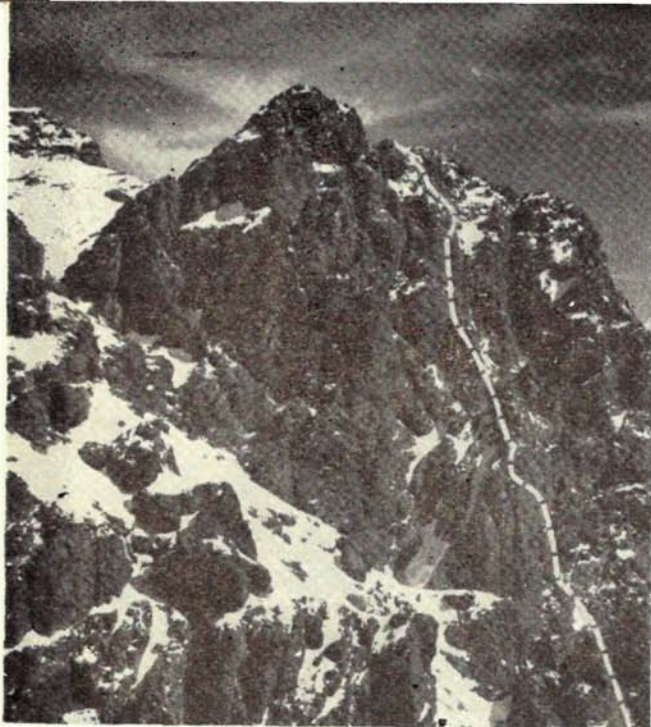
Szczyt Engelsa (6519 m) z trasą wejścia grupy „Spartaka”. Wspaniałe północno-zachodnie urwiska kryją w sobie problemy wspinaczkowe, których wystarczyć na kilkanaście lat.

Fot. Gennadij I. Szałajew

drodze dokonano 4 zjazdów 50-metrowych. Przełęcz osiągnięto po upływie półtora dnia. Schodząc dalej w dół, grupa skierowała się w kierunku doliny, w której był położony obóz bazowy. Na lodowcu nastąpiło spotkanie z W. M. Abalakowem. Do obozu powrócono trzynastego dnia od chwili wyruszenia. Nie zanotowano żadnych prawie odchyłek od planu taktycznego.

Członkowie grupy szturmowej stracili w trakcie wyprawy na wadze średnio po 5—6 kg, mimo dobrego zaopatrzenia w żywność i benzynę. Nie było żadnych wypadków ani zachorowań, chociaż niektórzy wspinacze odczuwali na dużej wysokości wyraźną ospałość. Wejście zostało sklasyfikowane w VI stopniu trudności i otrzymało pierwsze miejsce (złoty medal) w klasie przejść wysokosciowych (tę klasę wprowadzono wówczas po raz pierwszy) technicznie kombinowanych.

Tłum. Jan Kowalczyk



Kopa Uanums (3970 m) z drogą polskiego zespołu. W głębi po lewej wierzchołek Tubkala (4165 m).

Fot. Andrzej Mróz

EUGENIUSZ TEMLAK

II POLSKA WYPRAWA ALPINISTYCZNO-NAUKOWA W WYSOKI ATLAS

Na przełomie czerwca i lipca 1967 r. działała na terenie Maroka w grupie wschodniej Masywu Centralnego Wysokiego Atlasu II Polska (Bydgoska) Wyprawa Alpinistyczno-Naukowa, zorganizowana przez Koło Pomorskie KW pod patronatem prasowym IKP — Bydgoszcz, z pomocą ZG KW. W jej skład weszli: Eugeniusz Temlak — kierownik wyprawy, lekarz; Janusz Szczepny — zastępca kierownika, geograf-meteorolog; Andrzej Kozłowski — kwatermistrz, inż. mechanik; Ryszard Długolecki — lekarz wyprawy; Jan Kempiański — chemik; Jerzy

Jagodziński — agronom; Witold Rosenthal — prawnik; Tadeusz Vogel — sekretarz wyprawy, przedstawiciel IKP — Bydgoszcz, dziennikarz. Koncepcja wyprawy zrodziła się w styczniu 1966 roku, a prace organizacyjne trwały przeszło rok. Na wybór Wysokiego Atlasu złożyło się kilka przyczyn: polskie tradycje oparte na pięknym dorobku I Polskiej Wyprawy w Atlas z roku 1934, stosunkowo łatwy dostęp do gór lądem (około 350 km) oraz możliwość rozwiązania transportu morskiego, bowiem linia zachodnio-afrykańska obsługiwana jest przez polskie statki handlowe PŻM i PLO. Najistotniejszym argumentem był jednak fakt, że od 33 lat, tj. od roku 1934, Polacy nie działali szerzej w Atlasie.

Po pokonaniu szeregu trudności, z których najpoważniejszą było uzyskanie zgody GKKFiT na zwolnienie złotych dewizowych w celu pokrycia kosztów podróży statkiem PŻM, załadowaliśmy wreszcie nasz okazały, bo liczący około 1400 kg bagaż na samochody, by przewieźć go do Szczecina i w dniu 3 VI 1967 r. zaokrętować Wyprawę na m/s „Kruszwica”. Wysokie koszty podróży statkiem (44 000 zł) pokryli sami uczestnicy. W Casablance dzięki uprzejmości pana Marcina Strassburgera, który bezinteresownie oddał do naszej dyspozycji mikrobus VW, załadowaliśmy ekwipunek i poprzez Marrakesz dotarliśmy do małej berberyjskiej wioski Imlil, leżącej u wylotu potężnej Doliny Ait Mizan. Ostatni odcinek drogi wiódł po wertepach górskich. Udostępnienie nam samochodu pozwoliło zaoszczędzić sporą ilość dewiz z naszego skromnego prywatnego funduszu, wynoszącego zaledwie 100 dolarów. W Imlil nastąpił przeładunek części bagażu na 6 mulów, a reszta wyposażenia powędrowała w górę na plecach uczestników wyprawy. Średnio wypadało 30 kg na osobę. Obciążenie mulów również było spore (po 70–90 kg).

Barwna karawana ruszyła w górę nie kończąc się Doliny Ait Mizan i po 8 godzinach marszu dotarliśmy na wysokość 3207 m, gdzie na górnym piętrze doliny rozbiliśmy naszą bazę wypadową. Składały się na nią 2 duże namioty mieszkalne, namiot-spiżarnia, obudowane kamieniami obejścia kuchenne i „urządzenia sanitarne”. Zainstalowano w niej też przyrządy do prowadzenia obserwacji meteorologicznych oraz małe laboratorium, w którym oznaczano zawartość białka, chlorków i pH moczu. Równolegle prowadzono obserwacje procesu

przystosowania organizmu wspinaczy oraz oceniano drogą testów i prób sprawność i wydolność ustroju.

Działalność prowadziliśmy małymi, dwu- lub trzyosobowymi zespołami, operując w danym dniu w sąsiadujących z sobą partiach górskich. Od zasady współdziałania w terenie odstąpiliśmy tylko na okres penetracji sąsiednich dolin. Jeden z uczestników pozostawał w bazie w celu jej zabezpieczenia i przygotowania posiłku dla powracających zespołów. Prowadzone w kraju na przestrzeni roku staranne i ściśle naukowo kontrolowane przygotowania uczestników dały widoczne rezultaty. Adaptacja była szybka i sprawna, a forma sportowa od początku do końca bez zarzutu. Pozwoliło nam to na swobodne rozegranie założeń taktycznych i programowych.

Teren działalności

Masyw Centralny Atlasu Wysokiego, którego wschodnia część, określana często mianem Atlasu Marakeskiego, stanowi najwyższą partię tych gór i ciągnie się od przełęczy Test (2100 m) na zachodzie po przełęcz Teluet (ok. 2000 m) na wschodzie. W znaczeniu ścisłym, terenem działania wyprawy był basen Doliny Ait Mizan, choć penetracją objęto również sąsiadujące z nią poprzez granie doliny: od zachodu — Assif n'Timellit i Augdal n'Buidarene, od południowego zachodu — Augdal n'Uenkrim, od południowego wschodu — Dolinę Ifni, wreszcie od północnego wschodu Dolinę Potoku Moreny, leżącą na pograniczu Doliny Ait Imminen. W przeciwieństwie do pozostałych obszarów Atlasu Wysokiego, odznaczających się krajobrazem starych, zrujnowanych form górskich (wyjątkiem są tu niektóre rejony Masywu Zachodniego), otoczenie Doliny Ait Mizan ma krajobraz alpejski, o śmiałych kształtach turni, urwistych płytowych ścianach i najeżonych iglicami graniach. Góry te, będące wynikiem działania tej samej orogenezy, która dała początek wszystkim górcom łańcucha alpejskiego w Europie, są zbudowane głównie ze skał krystalicznych oraz licznych odmian skał pochodzenia wulkanicznego. Dzisiejszą rzeźbę zawdzięczają one działalności lodowców oraz współczesnym procesom wietrzenia, przebiegającym w typowy dla strefy podzwrotnikowej sposób. Rejon ten jest więc najbardziej alpejską krainą Atlasu Wysokiego, co wiąże się ściśle ze znacznymi deniwelacjami terenu, dochodzącymi do około 1000 m.

Z masywów objętych penetracją Wyprawy, a wznoszących się ponad dolinami sąsiadującymi z Doliną Ait Mizan, na uwagę zasługują południowe i północne zerwy Tubkala i Tubkala Zachodniego, wschodni

i północno-wschodni mur olbrzymiego płaskowzgórza zwanego Tazarhart, wyniesionego średnio na wysokość 3800—3980 m n.p.m., a ok. 770—800 m ponad dna otaczających go dolin, a także liczne, silnie skrzęsane i często przewieszane ściany, jak np. zerwy północno-zachodniej ściany Ras, południowej ściany Afella Uenkrim, zachodnie ściany muru Uenkrim i inne. Konfiguracja i urzeźbienie ścian są dość typowe. Jest to najczęściej szereg leżących ponad sobą spiętrzeń, poprzedzielanych rozległymi, piarzystymi zachodami, co przypomina profilem strome schody. Eksponowane spiętrzenia mają nierzadko kształt amfiteatralnych cyrków skalnych, zamkniętych i narzucających kierunek drogi. Urzeźbienie ścian jest bogate, występują filary, uskoki oraz depresje z licznymi pasami płyt. Partie podszczytowe mają często charakter olbrzymich kilkusetmetrowych rumowisk kamiennych, wyprowadzających na kopuły wierzchołkowe. Granie występują najczęściej w postaci rozsypanych się spiętrzeń, nie brak jednak i form „tatrzańskich”, o śmiałych ostrych profilach z licznymi iglicami i turniami.



Uczestnicy II Polskiej Wyprawy w Wysoki Atlas na m/s „Kruszwica”. Od lewej: R. Długociński, S. Kędzierski (chief statku), J. Jagodziński, E. Temalak, A. Kozłowski, G. Plewako (kapitan statku), T. Vogel, W. Rosenthal i J. Szczepny.

Fot. Jan Kempniński

Te ostatnie przybierają czasami kształty olbrzymich szaf skalnych. Konsystencja skał jest bardzo zróżnicowana: od partii litych — do całkowicie zwietrzałych i dlatego niebezpiecznych rumowisk. Stąd też drogi wspinaczkowe nie wykazują zazwyczaj jednostajnych trudności, lecz odcinki trudne przeplatają się z partiami terenu łatwego. Zdarrzają się jednak i drogi lite, eksponowane i przewieszane, typowe dla techniki sztucznych pomocy. Powyżej poziomicy 3500 m spotyka się duże obszary zleżałego śniegu, szczególnie w żłebach i depresjach, podcho-

dzące nieraz pod same granie. Pola śnieżne są często bardzo strome i ciągną się na przestrzeni kilkuset metrów. Miejsca zacienione są często mocno zalodzone. Śnieg jest na ogół dobrze związany, lód natomiast bardzo zbity i mało plastyczny.

Kronika wyprawy

3 VI 1967 r. — Wyjazd do Szczecina i zaokrętowanie na m/s „Kruszwica”.

4 VI—18 VI — podróż morzem do Casablanki. Tu następuje przewóz bagażu do willi konsula Pręgowskiego.

21 VI — spotkanie z Marcinem Strassburgerem i Jean Magnardem, od których otrzymujemy mikrobus VW. Po załadunku bagażu następuje przejazd na trasie 350 km, przez Marrakesz (gdzie zatrzymujemy się u dra Stanisława Szczypińskiego) i Asni do Imlil. Tu w dniu 23 VI robimy biwak.

24 VI — karawana ludzi i mułów osiąga górne piętro Doliny Ait Mizan, gdzie robimy bazę wyprawy (3207 m).

26 VI — wejście trzema drogami na najwyższy szczyt Atlasu i północnej Afryki — Tubkal (4165 m). Kempinśki i Temlak wchodzi zachodnią ścianą na Kopę Uanums (3970 m, zob. „Taternik” 4/1967 s. 137—159), IV z miejscami V — 6 godzin, I wejście. Dalej przejście przez przełęcz pod Tubkałem Zachodnim (3920 m), Tubkal Zachodni (4010 m) i przełęcz Tizi n'Tubkal (3971 m) na Tubkal (4165 m). Długolecki, Rosenthal i Szczęśny wchodzi na przełęcz Tizi n'Uanums, skąd następuje trawers poprzez Turnie Uanums do przełęcz Tizi n'Tubkal i wejście południowo-zachodnią grania na Tubkal. Droga nieco trudna, 6 godzin. Jagodziński i Kozłowski wchodzi północno-zachodnim ramieniem na Tubkal. Trudności II z jednym miejscem III — 5½ godziny. Wszystkie zespoły wracają do bazy przez kocioł Irhzer n'Khibi Południowy.

28 VI — Długolecki i Temlak wchodzi południowo-wschodnią ścianą na Biginusen (4002 m — dawna nazwa Uenkrim Południowy). Droga o trudnościach IV z wieloma miejscami V, 6—7 godzin (prawdopodobnie I przejście). Zejście południową grania na Przełęcz pod Wieżą i żłebem poprzez progi do bocznej dolinki Irhzer Ikhelun. Kempinśki i Szczęśny wchodzi wschodnią ścianą na Afella n'Uenkrim (4033 m). Trudności III, kruche skały, 3½ godziny. Ze szczytu południowego przechodzą na północny (4040 m) i schodzą północną grania przez Ramie (Epaule). Jagodziński, Kozłowski i Rosenthal wchodzi lewą grzędą wschodniej ściany na Aguelzim (3860 m). Trudności miejscami IV, 6½ godziny. Powrót południową grania na Przełęcz pod Turnią Tadat, skąd wschodnim żłebem na dno doliny.

29 VI — Jagodziński i Vogel wchodzi na Tubkal przez Kocioł Północny i przez szczyt Imus-Zer (4010 m) oraz przełęcz Tizi n'Imus-Zer Zachodnią, skąd północną grania.

30 VI — Kempinśki, Rosenthal i Szczęśny wchodzi na Tizi n'Uanums, skąd trawersują północno-wschodnią grania na szczyt Bu-Uzzal (3760 m). Droga ciekawa, częściowo III — 3 godziny. Dalej idą przez Tizi n'Uagan na szczyt Ras (4083 m), skąd przez przełęcz 3965 m na szczyt Timesgida n'Uenkrim (4089 m — dawna nazwa Dżebel Uenkrim Południowy). Powrót następuje przez Tizi n'Uagan. Kozłowski i Temlak wchodzi północno-wschodnią grania na Ras (4083 m — dawna nazwa Dżebel Agudel n'Mzier). Stąd trawers na Timesgida n'Uenkrim i penetracja obrywu płaszczyzny szczytowej. Powrót na Ras i zejście przez drugi wierzchołek grania na Przełęcz pod Doigt (3900 m). W zejściu trudności IV — przez dwa uskoki. Powrót do bazy wysoko położoną doliną boczną. Długolecki i Jagodziński wchodzi na przełęcz Tizi n'afella n'Uenkrim (3820 m) od

strony Doliny Amharaz n'Igliua, skąd uskokiem południowej grani na Afella Uenkrim (4043 m — dawniej Dżebel Assif Timellilt). Droga dość trudna — 2 godziny. Zejście północną grania w kierunku Iguel (Clochets) i dalej odnogą Irhzer Ikhelun do bazy.

2 VII — Jagodziński i Kempinśki wchodzi od Sidi Chamharuch na Tizi n'Tifurar (3520 m), skąd na Adrar Aguti (3681 m — dawny Dżebel Tachrat). Dalej idą grania przez Ramie Aksual, trawersują Igły Aksual i wchodzi na Azron n'Tamadut (3860 m) oraz Aksual (3910 m). Jego północną grania obniżają się na Przełęcz Wielkiego Potoku (3619 m) i schodzą do wsi Armed (wg nazewnictwa I Polskiej Wyprawy — Arrund). Całe przejście trwa 17½ godziny. Kozłowski i Rosenthal wchodzi grzędą poprzez turnie Tiszki (3750 m) i gran na szczyt Tiszki (3770 m). Droga III, uciążliwa — 4½ godziny. Powrót do bazy przez Tizi n'Tifurar. Razem 15 godzin. Długolecki i Temlak wchodzi z wysokości dolnych azibów (2340 m) na górne piętro Doliny Irhzer Imus-Zer, skąd kruchą północną ścianą na jeden z 4 wierzchołków Imus-Zer (4010 m). Droga w dolnej części ściany prowadzi stromym, śnieżno-lodowym żłebem, trudności III z miejscem IV, 3 godziny. Zejście południową grania na Tizi n'Imus-Zer Zachodnią (3975 m), skąd przez Kocioł Północny do doliny Ait Mizan.

4—5 VII — Kempinśki i Temlak wyruszają przez Tizi n'Uanums na rekonesans do Doliny Ifni. Z przełęczy schodzą kanionem potoku Ifni i jego korytem do zielonego Jeziora Ifni. Penetracja moreny zamykającej dolinę i jej ramion bocznych. Po biwaku w kanionie penetrują dalej boczne odnogi Doliny Ifni, po czym z jej górnego piętra trawersują do podstawy Kopy Uanums i wchodzi południowo-wschodnią ścianą na jej szczyt. Droga o trudnościach III z jednym miejscem IV — 2 godziny. Zejście na przełęcz pod Tubkałem Zachodnim, skąd w dół na stronę południową i rekonesans południowo-zachodniej ściany Tubkala Zachodniego. Powrót przez Tizi n'Uanums. Jagodziński i Kozłowski wchodzi na przełęcz 3820 m, między Akiud n'bu Imrhaz i Afella n'Uenkrim i trawersują południowo-zachodnimi zboczami ramienia łączącego płaskowyż Tazarhart i Afella. Południowo-zachodnią grzędą wchodzi na szczyt płaskowyżu (3980 m), by po jego spenetrowaniu zejść na Tizi n'Mellul (3875 m). Po biwaku obniżają się na górne Piętro Doliny Agudal n'Buidarene i zwiędają północne obrywy płaskowyżu Tazarhart. Podejście na przełęcz (3880 m) pod Igiami i zejście przez kocioł Irhzer Ikhelun. 4 VII Długolecki i Szczęśny wchodzi na Akiud n'bu Imrhaz (4030 m) — wierzchołek północny (tzw. wschodnim żłebem). Droga dość trudna, 3 godziny. 5 VII Rosenthal i Szczęśny wchodzi grzędą na Biginusen (4002 m). Zejście na przełęcz pod Tadat i kotłem Irhzer n'Tadat do Doliny Ait Mizan. Droga dość trudna — 3 godziny.

6 VII — Długolecki i Vogel dochodzą do Jeziora Ifni poprzez Tizi n'Uanums. Powrót tą samą drogą.

7 VII — ostatnie badania, likwidacja bazy (przy użyciu 3 mułów) i zejście do wioski Imlil. Biwak.

8—9 VII — powrót samochodem do Marrakeszu. Tu nocleg, a następnego dnia powrót do Casablanki. Wyprawa zatrzymuje się u Marcina Strassburgera, gdzie oczekuje na możliwość powrotu do kraju (wycieczki).

24 VII — wyjazd do portu Safi i zaokrętowanie na statek s/s Kopania Wujek. 25 VII — 3 VIII powrót morzem do kraju.

Wyniki sportowe i naukowe

Osiągnięcia Wyprawy, mimo skromnych środków jakimi dysponowała, należy uznać za co najmniej dobre. W czasie 16-dniowe-

go pobytu w górach uczestnicy zdobyli 23 szczyty (w tym 10 czterotysięczników), 20 wysokich przełęczy oraz przeprowadzili rekonesans pięciu dolin walnych i ośmiu bocznych. Wyprawa ma na swym koncie 38 wejść szczytowych (zespoły), w tym 12 zrobionych przez Polaków po raz pierwszy oraz 6 wejść drogami do tej pory zapewne w ogóle nie przechodzonymi (o ile to można było ustalić na podstawie dostępnych źródeł). Szczupłość funduszu dewizowego nie pozwoliła nam na zamierzoną działalność w innych grupach górskich. Obserwacje naukowe z zakresu fizjologii dużych wysiłków w tej strefie wysokości i w tym klimacie oraz obserwacje klimatologiczne pozwoliły na zebranie pokaźnego materiału, którego wykorzystanie i opracowanie zapowiada się bardzo ciekawie. Zgromadzone materiały górskie pozwolą na staranne przygotowanie następnych polskich wypraw i dalszej sportowej eksploracji Atlasu. Wyprawa znalazła szeroki oddźwięk w prasie krajowej (ponad 100 artykułów), w radio i telewizji oraz w prasie zagranicznej (marokańskiej i hiszpańskiej), która drukowała obszernie artykuły z przebiegu naszej działalności w górach. Nawiązano też bardzo ciepłe i serdeczne stosunki z miejscową ludnością, z polonią marokańską oraz z polskimi placówkami dyplomatycznymi.

Wnioski końcowe

Okres eksploracji odkrywczej ma Atlas Wysoki, a szczególnie jego Masyw Centralny, już poza sobą. Epoka sportowa, zapoczątkowana w latach trzydziestych przez Lepineya i Neltnera, a wzbogacona osiągnięciami I Polskiej Wyprawy w Atlas, jest jednak nadal otwarta. Przejście w r. 1934 północno-wschodniej ściany Amharaz n'Iglioua, znanego dziś pod nazwą Akiud

n'Bu Imrhaz (4030 m), przez Dorawskiego, Golca i Korosadowicza, które może i słusznie określano wówczas, jako rozwiązanie najtrudniejszego problemu w otoczeniu Ait Mizan, dziś należałoby traktować raczej jako pierwszy poważny krok na drodze sportowej eksploracji Atlasu. Wprawdzie nie ma już w Atlasie Marakeskim szczytów ani turni nie zdobytych, jednak większość ścian, filarów i depresji nie doczekała się dotąd nawet elementarnych rozwiązań. Partie skalne wymagające techniki hakowej pozostają nietknięte i czekają na rozwiązania, podobnie jak wiele dróg klasycznych o wyższych stopniach trudności. Powojenna alpinistyczna eksploracja Atlasu, początkowo dość intensywna, po roku 1956, a więc od momentu wycofania się Francuzów z Maroka, wyraźnie osłabła. Atlas Wysoki, jako bezsprzecznie ciekawy teren współczesnej działalności sportowej, czekał więc po raz drugi na odkrycie, co chyba nastąpiło w ostatnich latach. Swoje wielkie dni góry te mają w każdym razie jeszcze przed sobą. Warto podkreślić, że otoczenie Doliny Ait Mizan stanowi świetny teren do treningu alpinistycznego i aklimatyzacyjnego, jako etap pośredni przygotowania do wypraw w góry najwyższe. Jest to również nader ciekawy „poligon” dla alpinizmu zimowego, zapoczątkowanego tu już ostatnio. Wielkie rozmiary dróg, bogactwo form i urzeźbienia, ciekawa konfiguracja żlebów, rynien i zachodów — wszystko to razem tworzy atrakcyjny teren sportowej działalności zimowej. Łatwy dostęp do gór i pomyślnie dla nas układające się stosunki polityczno-gospodarcze z Marokiem są dodatkowymi atutami. Mój artykuł chciałbym zakończyć optymistycznie i wyrazić nadzieję, że nasza II Polska Wyprawa w Atlas da początek następnym, i że nie raz jeszcze usłyszymy o sukcesach polskich alpinistów w Wysokim Atlasie.

W dniu 26 kwietnia 1968 r. zmarł w Katowicach w wieku lat 90

JANUSZ CHMIEŁOWSKI

inżynier hutnik

twórca nowożytnego taternictwa polskiego, założyciel i pierwszy prezes ST TT, pierwszy zdobywca przeszło dziesięciu szczytów tatrzańskich, autor znakomitych przewodników po Tatrach, współzałożyciel i stały współpracownik „Taternika”, członek honorowy Klubu Wysokogórskiego (od 1913) oraz PTT (od 1948), w r. 1943 odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jego imię na zawsze pozostanie związane z historią Tatr i sportu polskiego.

ZARZĄD GŁÓWNY KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
REDAKCJA „TATERNIKA”

Z Wysokim Atlasem

- sam na sam

Być może, iż brytyjski Alpine Club — z poparciem swojej królowej — jeśli chce, może urządzić wyprawę w dowolne góry świata. Po prostu wybiera na mapie cel — i jedzie, o ile oczywiście aktualna sytuacja polityczna nie stanie na przeszkodzie śmiałoemu przedsięwzięciu. Kiedy ja podróżuję, przypadek rzuca mną z kraju do kraju, a w każdym choć trochę porzeźbionym, odczuwam górski niepokój. Nęca mnie najwyższe szczyty owych krajów — wybierać ich nie mogę, więc je przynajmniej kolekcjonuję.

*

Z Fezu do Marrakeszu próbuję przejechać autostopem, około 500 km, cały czas wzdłuż pasm — najpierw Średniego, potem Wysokiego Atlasu. Pierwszego dnia wieczorem osiągam Azrou. Przez cały dzień pokonałem odległość 80 km — czy ja wiem, chyba niedużo? Nazajutrz od razu wsiałam do autobusu, paskudztwo, ale po południu — Marrakesz.

Rano przechodzę w myśli wszystkie etapy żmudnych prac przygotowawczych każdej wyprawy wysokogórskiej. Odpada mi pierwszy kłopot, najbardziej idiotyczny — pozwolenie. Znajduję się już przecież na miejscu! Sam sobie jestem Komitetem Przygotowawczym, zatwierdzonym przez własną chęć wejścia na Dżebel Tubkal; wydaje mi się, że kwalifikacje mam — i na kierownika, i na uczestnika. Sprawy aprowizacyjne załatwiam na bazarze: kilo daktyli, kilo fig (są to najtańsze tu produkty żywnościowe), prócz tego paprykę, cebulę i pomidory. W sklepie dorzucam pół kilo cukru, zieloną herbatę (świństwo — dlaczego nie wziąłem czarnej?), dwa krażki topionych serków i „petit beurre”, bez których żyć nie potrafię. Objuczony wychodzę i to jest koniec fazy organizacyjnej. A teraz transport: do Asni 50 km autobusem, następnie 17 km do wioski Imlil. Choć droga jest tu znośna dla samochodów, zawodzi mnie autostopowa



nadzieja — ruszam więc na piechotę, licząc na podwiezienie mnie przez jakąś okazję. Pierwszy samochód przejeżdża, kiedy już tylko kilometr dzieli mnie od końca bitej drogi.

W Imlil nie rozglądam się za kulisami, ale ludzie o kulisiej mentalności otaczają mnie kręgiem. Właściciel „Café Imlil” podaje się za lisa-przewodnika i chce mnie zachwycić stosem rekomendacji. Ha! Sam Max Eiselin poleca Omara! Gdy Omar staje się zbyt natarczywy, wyjawiam, że Tubkal to dla mnie rekreacyjna wycieczka, prawdziwe nic, więc on, przewodnik nie jest mi wcale potrzebny.

Późno po południu ruszam z Imlil, z wysokości 1700 m n.p.m. Gdzieś w górnych rejonach doliny Ait Mizan ma stać na wysokości 3207 m schronisko Neltnera, oddalone, jak głosi tablica informacyjna, o 4 godziny marszu. Dzisiaj więc nie zdążę, ujdę jednak choć kawałek. Idę. Na ostatnich tarasach biednych polettek uzupełniam żywność — z kamienistej ziemi wrywam kilka wielkich rzodkiewek. Teraz mam wszystko, co niezbędne do wyprawy, konieczne kalorie i pożądane witaminy, przysmaki słodkie i pikantne, entuzjazm i dobry humor.

W połowie drogi rozkładam biwak — pod kamieniem całkiem podobnym do koleby. Chmurzy się znowu potężnie. Spędzam noc samotną, wspaniałą, pełną szumu i huku potoku rwącego 5 metrów ode mnie — ni-



Widok ze szczytu Tubkala (4165 m) w kierunku północno-wschodnim. Z lewej turnia Afferui (3300 m), z prawej Tubkal Północno-Wschodni (3751 m). Nad śnieżnym grzbieciem łączącym te wierzchołki widać gniazdo Tiszki (3770 m), pod grzbieciem — Mały Imus-Zer (4010 m).

Fot. Andrzej Mróz

gdzie dalej od szalonej wody nie udało mi się znaleźć dogodnego miejsca. Może lunąć lub sypnąć w każdej chwili, pilnuję więc swego kamienia. Dobrze mi, sam jestem. Jem paprykę, pomidory, cebulę, zdrowe, jarskie dania. Księżyc świeci.

Rano pogoda pod psem, Antarktyda nie Afryka. Nie czas już, by dalej iść w sandałach. Wkładam wibrasy za 495 zł, a zimno wściekle atakuje mnie przez cągowe portki. Dzielnie jednak docieram do schroniska. Zastaję w nim 4 Anglików, którzy właśnie sposobią się do zejścia. Pakują do plecaków ostatnie zwoje lin, karabinki, haki, kaski, ostatnie młotki i ławeczki. Czekań i raki na wszelki wypadek zostawiają na wierzchu. A chcieli zdobyć zaledwie Dżebel Tubkal! Oto ofiary przewlekłej aklimatyzacji: przez trzy dni przepięknej pogody snuli się po okolicznych wysokościach, przyzwyczajając organizm. Pogoda tymczasem się odmieniła i szczytu nie zdobyli. Do książki schroniskowej wpisali: „Crampons are essential on this snow surface”.

Strach mnie oblatuje. Nie mam raków, brak mi w takim razie rzeczy najistotniejszej na całą ewentualną drogę do wierzchołka Tubkala. Nie mam również czekana, drugiej rzeczy pomocnej w przedsięwzięciu. Cały dzień, całą noc i cały następny dzień szaleje wichura. Bije w schronisko, piekło się, jak najgroźniejsza zamieć w filmie górskim. Czytam księgę schroniskową od roku 1941 do naszych dni. Wojna to się tu moc-

nym echem nie odbiła — jaki nawał górskich westchnień z lat 1941—1945, pięknych i niezmaconych! Potem rok 1949 i wyprawa „Die Naturfreunde” z Monachium: zapiski głoszą, że Seilschaft Maria i Gustaw Gontarski z Prezowsky’em czegoś tam dokonali. Inne nazwiska też mi brzmią dziwnie swojsko.

Pod koniec drugiego dnia oczekiwania zapasy zaczynają mi się wyczerpywać. Zjadłem serki, chleb i jarzyny, mam jeszcze daktylę i figi, a przy nich gębę sklejoną jak garnek z miodem. Około północy rozpogadza się. Nie czekam do rana, świeci przecież księżyc. Wychodzę śmiesznie ubrany, m. in. w dwie pary spodni — długie i mankietami, a na nich krótkie, żeby nie ślagnęło, gdy przyjdzie gdzieś na chwilę przysiąść. W ręce mam dziwnego kształtu łaskę, która może ująć za czekan, w moim wypadku musi nawet zań uchodzić. Jakiś dobry człowiek zapomniał jej w schronisku. Kochana łaska, jak znakomicie przyspieszyła podejście po stromych śniegach, sprasowanych wiatrem na absolutny beton!

O świcie 23 października jestem na wierzchołku Dżebel Tubkal. Morza mgieł ze wszystkich stron, a nad nimi łańcuchy Wysokiego Atlasu i ja sam nad łańcuchami. Wzrusza mnie piękno widoku — warunki są w pełni zimowe, wszędzie białe i z tego powodu jeszcze bardziej wielkogórsko. Śmiać mi się zwykle chce ze szczytowych wzruszeń, cóż mam jednak poradzić, skoro już same na mnie spadły?

Zejsciowa grań południowa na przełęcz Uanums w zimowej szacie wcale nie jest banalna. Wybieram ją jednak, gdyż — znów co poradzić — nie lubię wracać drogami, którymi wszedłem, choćby nowe zejście miało się łączyć z wzrostem trudności i ryzyka.

*

Pierwsza Jednoosobowa (to bardzo zgodny zespół!) Polska Wyprawa Jarska w Atlas Wysoki zakończyła się pomyślnie w Asni tego samego dnia bardzo późną nocą. Od chwili, gdy zacząłem zejście na szczycie Tubkala, tylko na chwilę zatrzymałem się w schronisku, zaraz potem zbiegłem do Imlil, oddałem klucz od schroniska i bez nadzieje 17 km do Asni przeszedłem jedynym ciągiem na piechotę. Psy mnie mało nie zjadły, gdy padłem znużony do śpiwora rozłożonego na murku w środku głównego placu targowego wioski.

Polski obóz w Alpach Retyckich

HENRYK FURMANIK

W dniach od 5 do 29 sierpnia 1967 r. bawiła w Alpach Retyckich w rejonie doliny Bondasca i Piz Bernina grupa alpinistów KW, w składzie: Henryk Furmanik (kierownik), Marek Grochowski, Piotr Kintopf, Samuel Skierski, Andrzej Skłodowski i Wojciech Wróż. Głównym celem ekipy było dokonanie pierwszego polskiego przejścia słynnej północno-wschodniej ściany Piz Badile (3308 m), zdobytej w roku 1937 przez zespół R. Cassina — w dramatycznych okolicznościach.

KRONIKA OBOZU

28—30 VII. Przejazd pociągiem przez Wiedeń, Sargans i Chur (przesiadki) do St. Moritz (30 VII, godz. 11.30). Stąd autobusem w niespełna 3 godz. do Promontogno (godz. 17). Dalej do Bondo (ok. 1 km) udano się pieszo, bagaże przewożąc platformą.

31 VII. Urządzenie obozu. Namioty rozbito w Bondo u wylotu doliny Bondasca. Nawiązano kontakt z miejscowymi przedstawicielami SAC i pogotowia górskiego.

1—3 VIII. O godz. 13 wyruszyliśmy całym 6-osobowym zespołem do schroniska Sciora (godz. 18), w celu zaatakowania ściany Piz Badile. Po noclegu, wymarsz ze schroniska 2 VIII o godz. 3.30, wejście w ścianę o 6.30. O godz. 15 osiągnięto płaty śnieżne w środku ściany (ok. 450 m od podstawy), po czym pokonano jeszcze 70 m wysokości, skąd wskutek załamania się pogody zjechano na półkę obok płatów śniegu (biwak). Przez całą noc szalała burza gradowa z piorunami, która spowodowała silny opad kamieni. Trafity one dwóch członków zespołu, na szczęście niegroźnie; przecięte zostały także dwie liny. W tej sytuacji następnego dnia (3 VIII) o godz. 9 rozpoczęto odwrót. U stóp ściany zespół znalazł się o godz. 18, skąd zszedł wprost do Bondo (godz. 22).

4—8 VIII. Całkowite załamanie pogody, ciągły opad deszczu.

9—10 VIII. Rozpogodzenie. Suszenie sprzętu.

11 VIII. O godz. 10 wymarsz całego zespołu z Bondo do jezora lodowca, spadającego spod Piz Badile (godz. 19). Biwak na wygodnej trawiastej płaszczyźnie ok. 100 m poniżej lodowca. Wymarsz następnego dnia o godz. 3, ok. 4.30 wejście w ścianę. Środek ściany osiągnęliśmy o godz. 10, a „II Biwak Cassina” — o godz. 16 (ok. 650 m wysokości ściany). Od godz. 11 zaczął padać deszcz i grad, pomimo to kontynuowano wspinaczkę. Od godz. 16 opad deszczu przeszedł w śnieżyce, w związku z czym zdecydowano się ponownie zjechać na półkę obok płatów śniegu, gdzie spędzono noc. Następnego dnia wo-

bec silnego opadu śnieżnego (ok. 50 cm) o godz. 7 rozpoczęto odwrót. Lodowiec osiągnięto o godz. 21, Bondo — 14 VIII o godz. 1 w nocy.

14—17 VIII. Wypoczynek, suszenie sprzętu.

18 VIII. O godz. 21 wymarsz całego zespołu z Bondo pod ścianę Piz Badile. Wspinaczkę rozpoczęliśmy o godz. 4.30, środek ściany osiągnęliśmy o 9.30. O godz. 18 rozbiliśmy biwak dwa wyciągi poniżej grani. Następnego dnia z biwaku wyruszone o godz. 8, grani osiągając o 9.30, a szczyt o 14 — dnia 20 VIII. Ze szczytu zeszliśmy drogą normalną do schroniska Gianetti, skąd następnego dnia przez Passo di Bondo do naszej bazy.

23 VIII. Wyjazd H. Furmanika do kraju. Obowiązki kierownika grupy przejął M. Grochowski.

24—25 VIII. Wyjazd zespołu do St. Moritz, a następnie do Pontresiny, stąd podejście doliną Roseg, gdzie zanoconowano w szałasie. Następnego dnia 5-osobowy zespół dotarł do Tschiervahütte, skąd o godz. 9 wyruszył na grani Piz Bernina przez Piz Bianco (tzw. Biancogrät). Wierzchołek Piz Bernina osiągnięto o godz. 17, do schroniska Tschiervahütte powrócono o godz. 18.

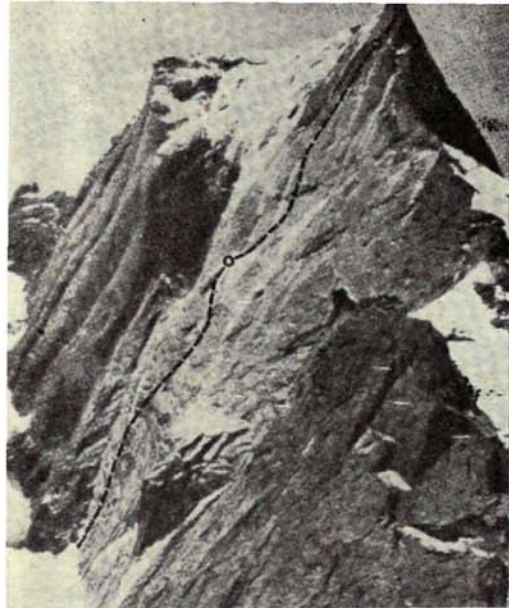
26 VIII. Wyjazd do kraju P. Kintopfa i W. Wróza.

28 VIII. 3-osobowy zespół wyrusza o godz. 2 pod północno-wschodnią ścianę Piz Roseg. Początek wspinaczki o godz. 3, szczyt osiągnięto o godz. 14. Z zejście przez Eselgrat zajęło ok. 3 godziny.

29 VIII. Powrót ostatnich uczestników wyjazdu do kraju.

WYNIKI SPORTOWE

Grupa natrafiła na stosunkowo niekorzystne warunki pogodowe. Dwunastodniowy okres bezchmurnej pogody, który stworzył doskonałe warunki w ścianach, skończył się właśnie w dniu naszego przybycia do Bondo. Niefortunne opóźnienie wyjazdu z kraju o całe dwa tygodnie spowodowało w konsekwencji — co jest oczywiście przypadkiem — rozminięcie z owym bardzo korzystnym okresem. Rejon Bergell, ogólnie rzecz biorąc, charakteryzuje się w lecie gwałtownymi załamaniami pogody i silnymi burzami, które w okresie działalności grupy dawały się szczególnie mocno we znaki. Warunki wspinaczkowe nie były w efekcie najlepsze: ściany miejscami pokrywał śnieg, skała była mokra, wspinano się dużo w deszczu, śnieżyce i wietrze. Przebyte zostały następujące drogi:



Północno-wschodnia ściana Piz Badile (3308 m) — 900 metrów litego granitu. Kółkami oznaczono biwaki polskiego zespołu.

Fot. Gutiérrez („Penalara”)

Piz Badile (3308 m) północno-wschodnią ścianą drogą Cassina 19—20 VIII 1967. Droga skalna, trudności VI: Furmanik, Grochowski, Kintopf, Skierski, Skłodowski i Wróż. Czas przejścia ściany 15 godzin.

Piz Bernina (4052 m) grania poprzez Piz Bianco 24 VIII 1967. Droga lodowa, trudności IV: Grochowski, Kintopf, Skierski, Skłodowski i Wróż. Czas przejścia 5 godzin.

Piz Roseg (3929 m) północno-wschodnią ścianą 28 VIII 1967. Droga lodowa, trudności V: Grochowski, Skierski i Skłodowski. Czas przejścia 9 godzin.

Pomimo bardzo niesprzyjających warunków w jakich grupa prowadziła działalność, jej wyniki są zadowalające. Osiągnięty został przede wszystkim główny cel wyjazdu, mianowicie I polskie przejście drogi Cassina na Piz Badile. Z uznaniem należy również odnotować bardzo sprawne wycofywanie się ze ściany podczas kolejnych załamów pogody — w niezwykle ciężkich warunkach i po wyczerpujących biwakach.

Sprzęt wspinaczkowy w zasadzie okazał się dobry. Trochę kłopotów przysparzały liny w odcinkach 80-metrowych, odpowiedniejsze byłyby 90-metrowe. Dużo natomiast do życzenia pozostawia ekwipunek ogólny, szczególnie kurtki puchowe.

Nasza działalność w rejonie Bergell zasługuje niewątpliwie na kontynuację, można by ją rozwinąć w dwóch kierunkach. Pierwszy — wyczynowy, daje realne szanse dokonania interesujących pierwszych wejść w masywach Piz Badile, Piz Cengalo, Sciora i innych, przy pewnym oczywiście nakładzie czasu i sprzętu. Możliwe też są powtórzenia trudniejszych dróg, rzadko na ogół przechodzonych. Drugi kierunek — szkoleniowy, wart byłby przedyskutowania z uwagi na walory rejonu Bergell, jako formy pośredniej pomiędzy Dolomitami a górami lodowcowymi w pełnym tego słowa znaczeniu. Duże pole do popisu w tej części Alp stwarza moim zdaniem zima. Poważne trudności skalne dróg w otoczeniu doliny Bondasca sprawiają, że rejon ten prawie wcale nie jest w ziemie eksplorowany, chociaż do dyspozycji stoją w charakterze baz znajdujące się tam schroniska Sciora i Sass Fura. Najgłośniejszy problem zimowy regionu — droga Cassina na Piz Badile — ma już co prawda przejście, nie brak jednak innych celów zimowych, niemal tak samo ponętnych i poważnych.

Piz Badile 1937—1963

ANDRZEJ STANOCH

Autor opracowania zginął w wypadku motocyklowym w roku 1964 (zob. „Taternik” 3-4/1964 s. 121). Artykuł zachował się w archiwach naszej redakcji — publikujemy go z pewnymi skrótami.

Piz Badile (3308 m) jest jednym z najwyższych szczytów granitowej grupy Bondasca w masywie Bergell, wznoszącym się na granicy Szwajcarii i Włoch. Jego słynna

północno-wschodnia ściana — 900 m wysokości — dominuje nad kotłem lodowcowym Vedretta del Cengalo, w górnej części doliny Bondasca po stronie szwajcarskiej. Punktem oparcia dla atakujących ścianę jest zagospodarowane schronisko „Sciora” (2120 m), własność SAC — Sektion Hoher Rohn, położone w najwyższej części doliny Bondasca (z Bondo 3—4 godziny).

Pierwszego przejścia ściany dokonali w

dniach od 14—16 VII 1937 r. Włosi R. Cassin, V. Ratti, L. Esposito, M. Molteni i G. Valsecchi. Wspinaczkę zaczęli dwa zespoły oddzielnie, połączenie nastąpiło pod koniec pierwszego dnia na małej platformie skalnej (tzw. I Biwak Cassina). W drugim dniu wspólnie pokonano środkową i górną partię ściany, dochodząc do małej poziomej półki (II Biwak Cassina). Trzeciego dnia w burzy śnieżnej wszyscy osiągnęli szczyt. Normalnie łatwe zejście do schroniska „Gianetti” w tych warunkach było bardzo trudne. Molteni i Valsecchi nie wytrzymali ogromnego wysiłku i umarli schodząc — z wyczerpania. (Zwycięstwo i tragedię zespołu Cassina zrelacjonował „Taternik” 3/1938 r. s. 78 — Red.)

Włosi ocenili trudności techniczne na VI+, wskazywali też na duże wymagania kondycyjne, jakie stawia ściana. Przez dwanaście lat droga nie mogła doczekać się powtórzenia. Drugiego przejścia dokonał w lecie 1948 r. przewodnik G. Rébuffat z klientem B. Pierrem. Wspinaczka zajęła im również trzy dni. Biwakowali pod zacięciem koło pola firnowego, a w następnym dniu dotarli pod górny kuluar. Zaskoczeni tam przez burzę śnieżną i deszcz, zabiwakowali ponownie. Trzeciego dnia w południe przy słonecznej pogodzie osiągnęli szczyt Piz Badile. (Opis tego przejścia zamieścił „Taternik” 3-4/1948 s. 123 — sam Rébuffat opisał je w książce „Gwiazdy i burze” s. 36—51. — Red.)

Trzeciego przejścia dokonał w lipcu 1949 r. W. Bonatti z towarzyszem — opisuje tę przygodę w „Moje góry” s. 23—32. Do roku 1950 droga miała już 9 przejść — na ogół robionych w coraz krótszym czasie, jednakże prawie zawsze z biwakami w ścianie. W lipcu 1952 r. przeszedł ją samotnie genialny Hermann Buhl — w 8 godzin, czym udowodnił raz jeszcze swoją wyjątkową klasę w alpinizmie. Przyjechał on z Austrii na rowerze przez cały górny i środkowy Engadin, przespał się pod ścianą, a w następnym dniu pokonał ją gładko i zszedł północno-wschodnim filarem (IV) do plecaka i... roweru. Tego samego dnia przejechał całą trasę z powrotem, by na rano być już w pracy w Innsbrucku. (Swoją wycieczkę opisał z humorem w książce „8000 drüber und drunter” s. 251—261. — Red.)

Po przejściu Buhla ściana stała się modną. W krótkim czasie przestano notować kolejność przejść, które ułatwiała duża ilość stałych haków.

W roku 1956 lub 1957 sukces Buhla powtórzył Niemiec G. Nothdurft, pokonując ścianę samotnie w niecałe 6 godzin (w sierpniu 1957 r. zginął on po przebyciu Eiger-Nordwand). Za przejście w dobrym stylu zaczęto uważać czas 8—10 godzin, oficjalnie

uznano, że trudności techniczne litej granitowej ściany w zasadzie nie przewyższają stopnia V, z 2 miejscami VI. Mimo to jednak droga utrzymała się w klasie poważnych przedsięwzięć wspinaczkowych i każdy wybitniejszy alpinista stara się mieć ją w swoim dorobku: niemal wszyscy uczestnicy szwajcarskiej wyprawy na Dhaulagiri w roku 1960 legitymowali się przejściem północno-wschodniej ściany Piz Badile...

*

6 sierpnia 1963 r. do schroniska „Sciora” u podnóżu masywu dotarła trójka taterników z Krakowa — Jan Danysz, Mieczysław Kofakowski i Andrzej Stanoch.

7 sierpnia wyszliśmy ze schroniska o godzinie 3, ale z powodu mgły dopiero o 7 rano rozpoczęliśmy wspinaczkę w ścianie. Po 40 minutach osiągnęliśmy pierwsze zacięcie (V). W godzinę po nas w ścianę wszedł dwuosobowy zespół Szkotów. Spotkaliśmy się po przejściu dolnego zacięcia — w łatwiejszej partii ściany. Przepuściliśmy ich, gdyż szli szybciej, z kolei jednak sami musieliśmy czekać przed 25-metrowym zacięciem (V—VI), nim przejdą. Od czasu do czasu z wielkiego „leja” w górnej partii ściany spadały kamienie. O godzinie 15 dotarliśmy do „I Biwaku Cassina” — w tym czasie Szkoci byli już pod górnym zacięciem. Poprzez filar i zacięcie doszliśmy do małej depresji, skąd poziomą półką przetraversowaliśmy w łatwiejszy teren — mniej stromy i mniej eksponowany. Około godziny 19 osiągnęliśmy szczątkowe pole firnowe w środku ściany, gdzie zdecydowaliśmy się na biwak. W tym czasie Szkoci wychodzili już z trudności górnej partii ściany i w nocy ukończyli drogę. Biwak był wygodny i ciepły.

Niestety, w środku nocy nastąpiło gwałtowne załamanie pogody — ulewny deszcz padał bez przerwy do 4 rano, nękały nas ciągłe wylądowania elektryczne. Potem dwugodzinny opad mokrego śniegu zmienił czarną granitową ścianę w gładkie białe urwisko, około 7 ponownie zaczął padać deszcz. Wobec całkowitego przemoczenia i beznadziejnej pogody postanowiliśmy wycofać się tą samą drogą. Najpierw zjechaliliśmy do depresji, a potem dwoma łatwymi zjazdami osiągnęliśmy wąską półkę. Z góry często spadały kamienie. Droga w środkowej części ściany prowadzi stale w skośnych traversach z prawej do lewej, co stwarza poważne trudności przy wycofywaniu. Postanowiliśmy więc przetraversować ok. 40 m półką w prawo w dół, aż do miejsca, gdzie zanika ona w litej płycie granitowej.



Bergell — grupa Bondasca. Z lewej ostre turnie Geme'li (3262 m), w środku oddzielony Kuluarem Geme'li masywny Piz Cengalo (3370 m), z prawej Piz Badile (3308 m), a za nim dwuwierzchołkowy Piz Badiletto.
Photo Max — St. Moritz

Trzema zjazdami w pionie (jedna przeziadka w hakach) udało nam się osiągnąć stanowisko za odpęknętym blokiem w dolnej partii ściany, omijając zasadnicze trudności środkowej części. Nastąpiło teraz zejście skośnymi rysami (3 wyciągi o trudnościach III), zjazd z dolnego zacięcia — 35 m w pionie — i zejście 200 m trawersem skośnie w prawo do podnóża ściany. Na lo-

dowcu stanęliśmy o godzinie 19. Podczas wycofywania się ze ściany byliśmy w chwilach przejaśnienia obserwowani ze schroniska przez lornetki. Wieczorem pod ścianą na spotkanie wyszło sześciu Anglików.

Pogoda w grupie Piz Badile załamała się na długi czas, wobec czego 9 sierpnia wyjechaliśmy do Bondo, a następnie przez Furkę do Zermatt.

Polskie przejście ściany Piz Badile

ANDRZEJ SKŁODOWSKI

Kiedy 20 lipca 1967 r. przyjechaliśmy do Bondo — małej szwajcarskiej wioski będącej punktem wypadowym w rejon Bergell — kończył się właśnie okres pięknej pogody. Komunikaty meteorologiczne zapowiadały nie tracić ani chwili i możliwie zaraz wyruszyć w góry. Naszym celem była północno-wschodnia ściana Piz Badile — ostatnia z szóstki słynnych północnych ścian alpejskich, której do tej pory nie pokonał zespół polski.

1 sierpnia dotarliśmy do schroniska „Sciora”, z zazdrością oglądając po drodze zmotywowanych „alpinistów” mijających nas samochodami na krętej szosie wiodącej doliną Bondasca. Następnego dnia wyruszyliśmy jeszcze w nocy i po 3 godzinach po-

dejścia po morenach i lodowcu znaleźliśmy się pod ścianą. Wysoko nad nami wspinały się zespoły, które weszły w „Cassina” poprzedniego dnia. Tuż przed nami ruszył w górę jeszcze jeden zespół: znany przewodnik z Grenoble, Jacques Sangnier wraz z klientką, młodą paryżanką Christine (por. „Taternik” 1/1968 s. 47 — Eiger).

Po przejściu dolnej, łatwiejszej części ściany (według naszych kryteriów IV—V), mineliśmy się przy odstrzelonym bloku z dwójką alpinistów angielskich, którym kamienie przecięły linę, zmuszając ich do odwrotu. Pokonaliśmy ryzykowny pas płyt i długi skrajnie trudny trawers. Było wczesne popołudnie, kiedy znaleźliśmy się przy polu śnieżnym w połowie wysokości ściany. Nad nami wznosiła się 200-metrowa prawie

plonowa partia granitowych spasz — najtrudniejsza część całego urwiska. Podczas gdy Jacques ze swoją partnerką pokonywał pierwsze wyciągi głównych trudności, pogoda zaczęła się gwałtownie zmieniać. Niebo zaciągnęły ciemne chmury, zerwał się wiatr, od czasu do czasu zaczął drobny deszcz. Próbowaliśmy wspinać się dalej — byliśmy przecież zbyt wysoko, by łatwo zrezygnować z dalszej drogi. Niestety, pogoda pogarszała się i po godzinie wokół nas rozpętała się gradowa burza. Już po ciemku wróciliśmy zjazdami na pole śnieżne i założyliśmy biwak. Burza szalała całą noc, od czasu do czasu z góry spadały kamienie. Gdy nad ranem uciszyło się, stwierdziliśmy z rozpaczą, że poprzecinały one w kilku miejscach nasze liny. Pozostawało tylko zatrzeć na odwrót — zaczęliśmy zakładać pierwsze zjazdy...

*

Następną próbę przejścia drogi podjęliśmy dopiero 12 sierpnia. Po biwaku pod ścianą, szybko zdobywaliśmy wysokość i już o godzinie 10 staliśmy przy polu śnieżnym. Ale i tym razem burza okazała się szybsza. Wspinaliśmy się dalej, optymistycznie licząc na to, że załamanie pogody nie potrwa długo. Około 14 burza co prawda ucichła, zaczął jednak sypać śnieg. Zmrok zaskoczył nas w czasie zjazdów — na polu śnieżnym w środku ściany. Śnieg padał przez całą noc, a gdy rano zaświeciło słońce, ścianą zaczęły spadać wielkie lawiny pyłowe. Droga w górę była zamknięta, znów pozostawała tylko droga w dół. Gdy po 38 godzinach spędzonych w ścianie stanęliśmy u stóp urwiska, nikt z nas nie miał ochoty, by wrócić tu jeszcze kiedykolwiek.

*

Ale „do trzech razy sztuka” — mówi stare przysłowie. 19 sierpnia już o 5 rano wiązaliśmy się u wejścia w drogę. Było jeszcze zupełnie ciemno, tylko na lodowcu pod nami pełzał wolno długi szereg świateł. To podchodziły pod ścianę dalsze zespoły. Rozpoczęliśmy wspinaczkę: po raz trzeci te same płyty, zacięcia, przewieszki... O godzinie 9.30 minęliśmy miejsce naszych dwóch poprzednich biwaków. Tempo było znakomite — nic dziwnego: ścianę znaleźliśmy prawie tak, jak południową Zamarłej Turni... Była dopiero 10, gdy Samek Skierski zatakował jako pierwszy główne trudności. Teraz tempo wyraźnie osłabło. Zbliżał się koniec sierpnia i w ścianie panowały nie najlepsze warunki. Płyty i zacięcia były mokre, miejscami błyszczał już świeży lód. O godzinie 15 dotarliśmy do „II Biwaku Cassina” — u końca głównych trudności. Teraz czekał nas „tylko” 250-metrowy kuluar, wyprowadzający na grań.

Wspinaczka stała się uciążliwa. Dnem ku-

luaru spływała woda, a trudności nie schodziły poniżej naszej tatrzańskiej „piątki”. Około godziny 17 już tylko 60 metrów dzieliło nas od grani, choć inne zespoły tkwiły jeszcze nisko w kuluarze. Samek wyruszył do przedostatniego już wyciągu trudności, gdy nagle z dołu dobiegły nas gwałtowne krzyki. Okazało się po chwili, że idący na końcu zespołu Heniek Furmanik jest kontuzjowany w rękę, którą nie może poruszać w stawie barkowym. Podczas gdy Piotr Kintopf fachowo bandażował mu ramię, my szybko rozpięliśmy linę poręczową. Zaczęliśmy się głowić, co robić dalej? Kończący kuluar skrajnie trudny komin był w tej sytuacji zbyt trudny. Od naszego stanowiska biegł w prawo jakiś trawers, nie wiedzieliśmy jednak, czy wyprowadza na grań. Podczas naszych dyskusji doszły następne zespoły. Czterej Włosi minęli nas obojętnie, nawet nie zapytawszy o rodzaj kontuzji Heńka. Natomiast trzej Szwajcarzy zatrzymali się z nami i razem postanowiliśmy zabiwakować. Podczas przygotowywania biwaku spadł z góry kamień i ugodził w głowę Marka Grochowskiego, który zwisnął bezwładnie na pętli autoasekuracyjnej. Jeszcze jeden ranny! — sytuacja zaczęła być groźna.

Noc spędziliśmy przytuleni do siebie na niewygodnych stopniach skalnych. Szwajcarzy — kilka metrów od nas. Nad ranem pogoda pogorszyła się gwałtownie — zerwał się porywisty wiatr i zaczął sypać śnieg. Było jeszcze szaro, gdy zaczęliśmy ostrożnie trawersować w kierunku grani. Trawers nie był trudny, a rozpinane liny poręczowe ułatwiały posuwanie się Heńkowi i Markowi. Ten drugi zresztą szybko wrócił do formy, a uderzenie w głowę nie miało groźniejszych następstw. Szwajcarzy trzymali się ciągle za nami.

Po dwóch godzinach osiągnęliśmy grań szczytową. Ale i ona nie była łatwa i wymagała sztywnej asekuracji. Podziwialiśmy Heńka, który posługując się tylko jedną ręką wspinał się bardzo szybko. Gdy dotarliśmy do poziomej części grani, Szwajcarzy minęli nas bez słowa i po chwili zniknęli nam z oczu w gęstej mgłę.

Około godziny 14 stanęliśmy na szczycie Piz Badile. Poprzez mgły zaczęło przebiegać słońce i w ciągu kilkunastu minut zrobiła się pogoda z niewiarygodnie pięknymi widokami na wszystkie strony. Podczas gdy Samek wpisywał do książki wejść nasze nazwiska i przynależność klubową, zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia na szczycie, a potem powoli zaczęliśmy schodzić po starych śladach na południową stronę, w kierunku widniejącego głęboko w dole schroniska „Gianetti”. Pierwsze polskie przejście słynnej ściany było dokonane.

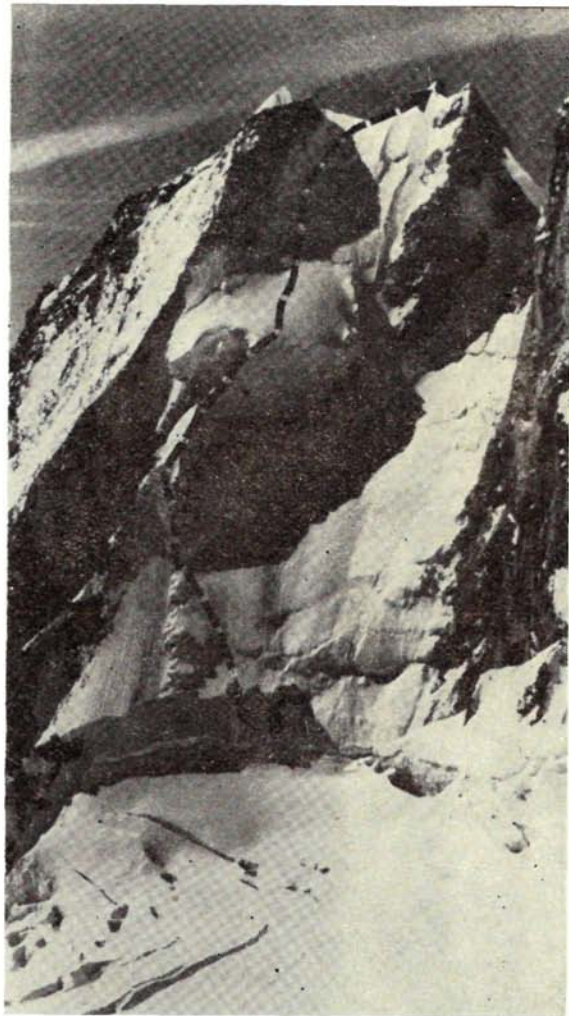
Aiguille Blanche

— w zimie

Największym osiągnięciem alpejskiej zimy 1967/68 jest przejście północno-wschodniej ściany Piz Badile. Ponadto przebyto kilka innych dróg — mniej wprawdzie sławnych, ale również poważnych. Do nich należy północna ściana Aiguille Blanche de Peuterey (4107 m) w masywie Mont Blanc, przebyta w zimie przez czteroosobowy zespół polski w składzie Maciej Kozłowski, Jerzy Michalski, Jacek Poręba i Andrzej Zawada. Ściana ta — w całości lodowa — ma 730 m wysokości i opada z obu wierzchołków. Przecina ją częściowo przewieszony obryw lodowy, bardzo stroma jest część powyżej rzędnej 3750 m. Pierwszego przejścia ściany dokonano w r. 1933, pierwszego przejścia zimowego — ok. 20. III. 1961 r., nie wiadomo jednak z pewnością, czy w ramach kalendarzowej zimy.

Z Chamonix wyjechaliśmy na Aiguille du Midi 8 marca około południa. Wieczorem dotarliśmy do Col de la Fourche (3709 m), gdzie zanocowaliśmy w bivacco. Następnego dnia poświęciliśmy na odpoczynek i obserwację naszej ściany, w której warunki wydawały się być dobre. 10 marca wyruszyliśmy o godzinie 3 nad ranem i o 6 zaczęliśmy wspinaczkę. Pogoda była ładna z silnym wiatrem, który rozciągał nad graniami chorągwie śnieżne. Spieszyliśmy się jednak, gdyż zapowiedzi służby meteorologicznej wróżyły zmianę na dzień 11 marca. O godzinie 10 byliśmy pod strefą obrywu lodowego. Tu wspinaczka była trudna, na jednym wyciągu trzeba było nawet zastosować podciąg z pomocą wkrętów lodowych (4 haki). Wiatr był tak silny, że chwilami trudno było ustać, a mróz ok. 15° spowodował, że nieco podmrażaliśmy twarze. Stroma górna część ściany miała miejscami twardy lód, miejscami zaś nieźle związany śnieg. Bardzo strome (ok. 60°) było samo wyjście ze ściany.

O godzinie 16 osiągnęliśmy grań, a niebawem zachodni wierzchołek (ok. 4085 m). O 17 rozpoczęliśmy zjazd na Col Peuterey (3934 m), skąd w bardzo trudnych warunkach, przy huraganowym wietrze i w ciemnościach ze-



Aiguille Blanche de Peuterey (4107 m), z prawej Col de Peuterey (3934 m) oraz skały Wielkiego Filara Narożnego. Droga lodowa ścianą północną oznaczona według letniego przejścia polskiego zespołu w składzie M. Grochowski, M. Gryczyński, J. Warteresiewicz i A. Zawada — 11 VIII 1966 r.

Fot. Krzysztof Cielecki

szliśmy na lodowiec Brenva, o północy stając na Col Moor. Niestety idąc dalej tylko według kompasu nie zdołaliśmy odszukać małego schronu na Col de la Fourche i rozłożyliśmy biwak pod gołym niebem.

Dwa dni spędziliśmy w „bivacco”, skąd następnie zeszliśmy na Aiguille du Midi, gdzie jako jeden z pierwszych złożył nam gratulacje Jacques Sangnier, odprowadzany przez Christine de Colombel pod Filar Croza. W Chamonix nasze przejście było żywo komentowane, pisała też o nim cała prasa krajów alpejskich, szczególnie francuska, szwajcarska i angielska.

Komukolwiek postawimy pytanie: „jakie było największe rozmiarami malowidło, stworzone przez Polaków na przestrzeni Tysiąclecia”, odpowiedź będzie ta sama: — „Oczywiście Panorama Racławicka!” Jest to dzieło tak znane i popularne, że przekonanie o absolutnym pierwszeństwie w zakresie rozmiarów nacechowane jest niewzruszonością granitu. I jest owo przekonanie istotnie uzasadnione, jeśli porównywać rozmiary dzieł dziś istniejących; gdy jednak sięgnąć w przeszłość, sytuacja okaże się nieco inna.

Sięgnąć zaś należy do schyłku XIX wieku, kiedy to malarstwo panoramiczne — na zachodzie Europy uprawiane od drugiej połowy wieku XVIII — stało się na ziemiach polskich modne. Wtedy też powstał ogromny obraz panoramiczny przedstawiający Tatry — dzieło, które istniało kilka zaledwie lat, a dzisiaj jest tak dalece nieznane, że nawet wzmiankujący je wybitni znawcy popełniają na jego temat rażące błędy.

„Panorama Tatr” zaczęła powstawać w roku 1894, w kilka tygodni po ukończeniu „Pa-

Stanisław Janowski, młody wówczas pejzażysta i Ludwik Boller, niemiecki malarz, poprzednio współautor „Racławic”. Dalej pracowali wraz z nimi Abolinary Kotowicz, Kasper Zelechowski i Stanisław Radziejowski, a wreszcie i Antoni Piotrowski (ten, jak się zdaje, krótko i tylko we wstępnej fazie dzieła).

Bazą malarzy było schronisko nad Morskim Okiem. Stąd wyruszali wielokrotnie na Miedziane, gdzie lokowali się nieco poniżej wierzchołka, aby godzinami przenosić na kartony każdy szczegół krajobrazu. Kazimierz Tetmajer odwiedzał ich tutaj, i on przede wszystkim przekazał sporo szczegółów na temat pracy — pod parasolami często, na wietrze i przy zimnie. Wysiłek był niewątpliwie duży, zwłaszcza, że nie wszyscy malarze byli ludźmi gór (powiedzieć to można chyba tylko o Janowskim), praca zaś trwała w roku 1894 bodaj aż do początków października.

„Panorama Tatr” miała być wystawiona w Warszawie, na skarpie wiślanej, przy niepozornej uliczce Dynasy, gdzie miało wówczas swoje tereny Warszawskie Towarzystwo Cy-

ADAM CHOWAŃSKI

„Panorama Tatr”

noramy Racławickiej”. Inicjatorem i czołwiekiem, który sfinansował wstępny etap prac był krakowski adwokat, Henryk Lgocki. Obok swych zajęć zawodowych „robił w kulturze” — jak dziś powiedzielibyśmy. Panoramę pojmował jako przedsięwzięcie dochodowe, niezależnie jednak od tej sprawy, miała ona też znaczenie artystyczne, wreszcie i pozaartystyczne, jako forma popularyzacji gór w epoce, gdy nie znano kina, a technika reprodukcji zdjęć nie pozwalała na powielanie obrazów w skali rzeczywiście masowej.

Lgocki zaangażował do pierwszego etapu prac kilku malarzy. Za poradą Walerego Eljasza i Wojciecha Gersona wybrano punkt widokowy: Miedziane. Dnia 28 sierpnia 1894 roku nad Morskie Oko przybył Gerson z malarzami Piotrowskim i Bollerem. Nazajutrz odbyli wycieczkę na szczyt, co ostatecznie przypieczętowało decyzję. Jak się zdaje, bezpośrednio po niej rozpoczęta została praca nad studiami do obrazu. Czytelnikom „Taternika” nie musimy opisywać widoku z Miedzianego; trzeba jednak wspomnieć, że o wyborze miejsca przesądził nie tylko fakt rozległości i oryginalności panoramy, ale i dość łatwa dostępność szczytu.

Od początku zaczęli więc pracę na Miedzianem dwaj główni twórcy malowidła —

klistów. Lgocki stworzył spółkę, która sfinansowała dalsze prace przy obrazie, a przede wszystkim wybudowanie na Dynasach okrągłego pawilonu na jego pomieszczenie. Nim to nastąpiło, w roku 1895 ukończono olejne szkice panoramy w skali 1:10, uzupełniono też je i zebrano dodatkowy materiał. W roku tym malarze przebywali nad Morskim Okiem do września. W tymże miesiącu zaczął się główny etap pracy.

20 września 1895 roku malarze przystąpili do dzieła — w Monachium. Wewnątrz specjalnego budynku w dzielnicy Schwabing zaczęli przenosić treść szkiców na płótno o wymiarach 120 na 16 metrów. Powstał zarys krajobrazu, pojawiły się barwy. Tworzenie obrazu trwało przez jesień, zimę i wiosnę 1896 roku, brali zaś w nim udział obok Janowskiego, Bollera, Radziejowskiego i Zelechowskiego również malarze: Emilian Jasiński, Lucjan Kochanowski, Konstanty Mańkowski, Władysław Wankie (dwaj ostatni — krótko). W maju 1896 roku prace weszły w fazę końcową. Do dzieła przystąpił wówczas Teodor Axentowicz, którego zaproszono do współpracy, by wmalować w tło sztafaż w postaci grup ludzi (w kilku miejscach obrazu). Centralna grupa znalazła się nad Morskim Okiem. Były to postacie turystów i górali —

osób ogólnie znanych, związanych z Tatrami poprzez swą działalność. Z różnych relacji zdołałem wyłowić szereg nazwisk, niepełny zresztą; wiadomo, że na pewno byli przedstawieni: T. Chałubiński, ks. J. Stolarczyk, W. Eljasz, Sabała, P. Chmielowski, W. Matlakowski, S. Witkiewicz i przewodnik W. Roj.

Równoległe z pracą Axentowicza kończyła obraz reszta malarzy, każdy swój odcinek. Wówczas to, około połowy maja, zdarzył się tragiczny wypadek. Spadł mianowicie z rusztowania Boller. Malował najwyżej, bo powierzono mu niebo (tworzył je i w „Panoramie Racławickiej”). Upadek z kilkunastometrowej wysokości przysplącił życiem, po parodniowym pobycie w szpitalu. Zastąpił go przy wykańczaniu panoramy niemiecki malarz L. Schoenchen; była ona zresztą już niemal całkowicie gotowa. Na kilka dni udostępniono ją publiczności, a w czerwcu 1896 roku — również krótko — wystawiono w Krakowie. Następnie wysłano ją do Warszawy.

Na Dynasach tymczasem powstał ów okrągły pawilon. U progu września panorama by-

Wojciech Gerson. Entuzjastycznie odnosił się do niego Kazimierz Tetmajer („jeżeli można sobie wyobrazić doskonale namalowaną panoramę, to ta nią jest”); napisał on cykl artykułów o panoramie w „Kurierze Warszawskim”, które wydano później jako osobną publikację.* Już w Monachium obraz zyskał sobie wysoką ocenę wybitnych znawców, tamtejsze zaś pismo „Kunst für Alle” określało go jako „wypadek pierwszorzędnny w dziejach malarstwa panoramicznego”.

Znamy ten widok z Miedzianego... Spokojny dzień letni, bez mgieł. Oddajmy głos Tetmajerowi: „...W taki dzień schodzi na górę jakieś słodkie, senne zadumanie się, jakieś zamyslenie niezmiernie. Po halach kwiaty pachną, na niebie zwisają białe, puszyste obłoki, strumienie się srebrzą i kryształą, wody w jeziorach mają dziwną, lśniąca przezroczystość w głąb i tęcze światła na szklanej powierzchni. W taki dzień na lasy schodzi jakaś szeregowa, jakaś gaza przejrzysta, a zioława, zaś niziny węgierskie wyglądają ze szczytów jak sen, jak wizja. W taką chwilę na szczycie zapada się w jakąś zadumę nie-

- największe malowidło tatrzańskie

ła już rozwieszona. Wówczas zaczęto tworzyć jej przedpole, sztuczny teren, który miał być przedłużeniem obrazu w kierunku widza. W punkcie środkowym rotundy umieszczono podium dziewięć metrów wysokości, w którego sąsiedztwie odtworzono dwunastometrowy wierzchołek Miedzianego. Do tej ogromnej roboty dekoratorskiej ściągnięto półtora wagonu granitu oraz niepolicone wozy suchych roślin, trawy, mchu. Malować góry niełatwo, co dopiero — modelować je! A jednak kierujący pracami S. Reisacher wykonał swe zadanie *lege artis*. Zgodnie podkreślano później w ocenach: „...zda ci się, jakbyś naprawdę stał na szczycie tatrzańskim”.

Otwarcie „Panoramy Tatr” nastąpiło 21 listopada 1896 roku. W przeddzień odbył się wernisaż (daty według kalendarza gregoriańskiego), obszernie omówiony na łamach prasy. Byli na nim obecni Bartek Obrochta i Szymon Tatar, sprowadzeni z Zakopanego do Warszawy, by udzielali objaśnień publiczności oraz przygrywali na skrzypkach podczas zwiedzania.

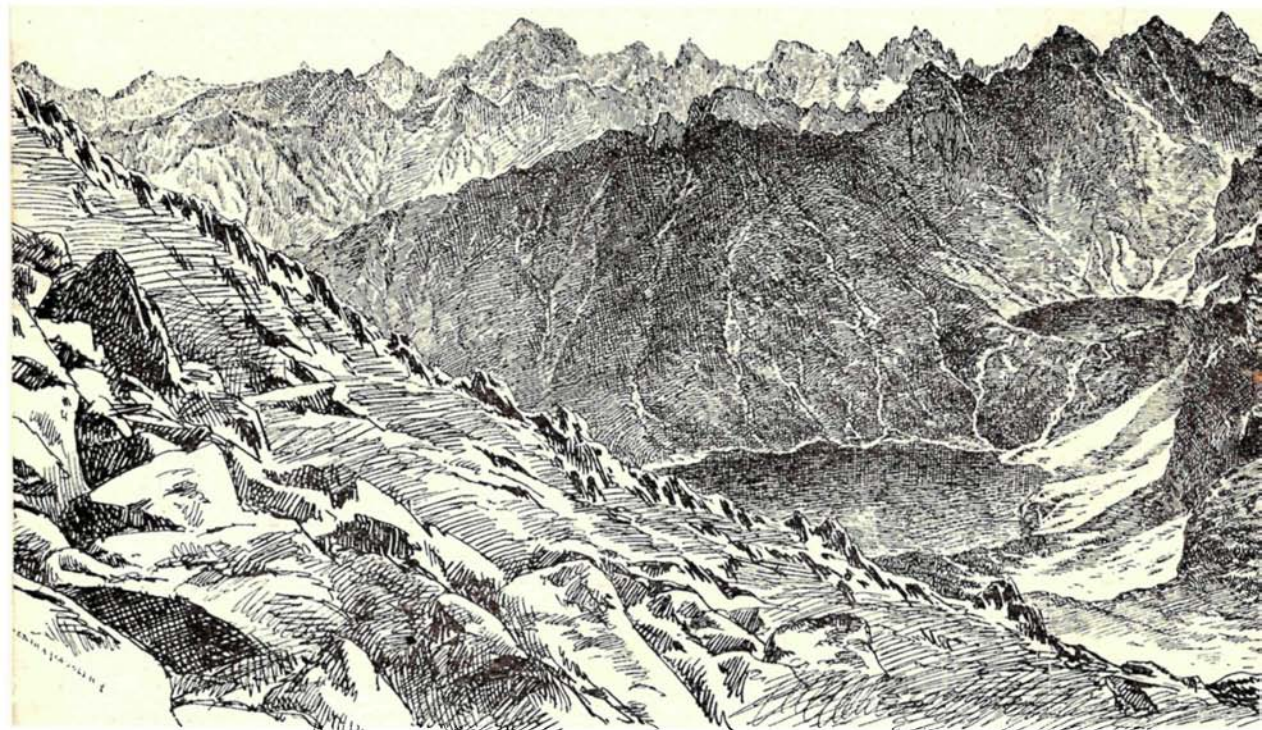
Opinie krytyków i znawców były dodatnie, przy rzadkich tylko i drugorzędnej wagi zastrzeżeniach. Olbrzymi obraz musiał robić rzeczywiście silne wrażenie. Wysoko cenili go

określoną i bezkresną; wszystko w człowieku milknie: pamięć, wiedza, myśl; piękno natury ogarnia go i topi w sobie...”**)

Podkreślał, że Tatry są w obrazie takie, jak naprawdę — „szare, zimne, twarde i strzeliste”. Cenił najwyżej (nie tylko on) partię południową i wschodnią, a więc szczyty od Mieguszwieckich na pierwszym planie po Lodowy. Ta część obrazu była dziełem Janowskiego. Podobały mu się również partie Wołoszyna. Monachijski krytyk dla odmiany zachwycił się „dziką poezją” Doliny Pięciu Stawów. A publiczność? Ta odbierała wrażenia górskie rozmaicie — mniej lub bardziej głęboko, wszyscy jednak byli pod urokiem tak wspaniale przedstawionych gór, przez większość widzianych po raz pierwszy. „Idźcie do panoramy — zachęcał felietonista Biesiady Literackiej — a odetchniecie całą pier-

*) „Objaśnienie do olbrzymiego obrazu Tatr”, Warszawa 1896 s. 55 — w dwóch językach. (Red.)

**) Urywek ten przytoczył w jednym z artykułów zmarły niedawno Janusz Chmielowski („Wędrowiec” r. 1905). Dodał on, że Kazimierz Tetmajer w swym pełnym poezji „Objaśnieniu do panoramy Tatr” zdołał „najlepiej ze wszystkich piszących kiedykolwiek o Tatrach” odmalować wrażenia, jakich doznaje taternik stojąc na wyniosłym tatrzańskim szczycie. (Red.)



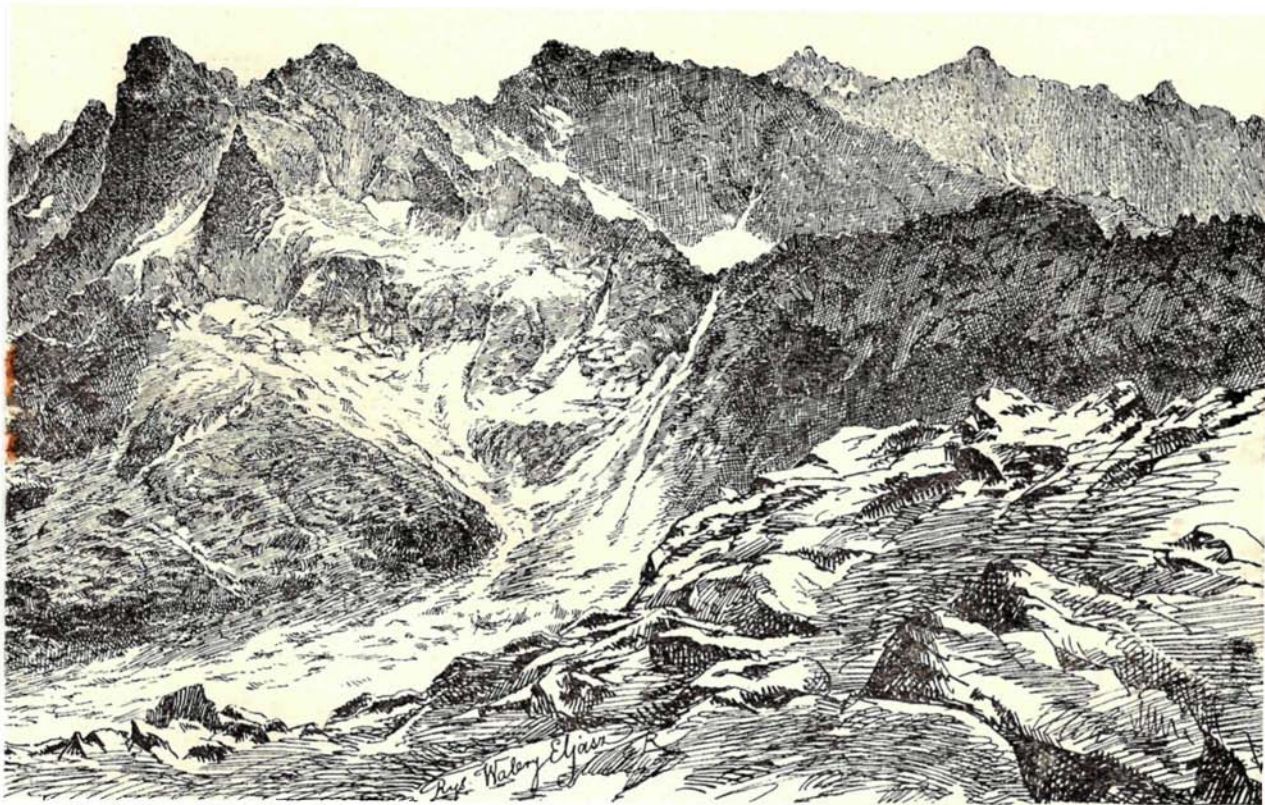
Płaczliwa. Jatk. Jagnięcy. Kolowy. Lodowy. Jaworowe. Sławkowski. Starolesna. Gąrluch Rysy. W.
 Szeroka Jaworzyńska. Młynarz. Morskie Oko. Zabi. Czarny Staw.

się, tak swobodnie, jakbyście naprawdę po górach chodzili”. I dodawał na użytek byłalców górskich: „Tym, którzy chcą odnowić swoje wrażenia zakopańskie, nie radzę odwiedzać panoramy razem z tłumami — niech sobie wybiorą godzinę wczesną, kiedy mieszczuchy dopiero się budzą, lub poobiednią, kiedy drzemią; będą wówczas sami, ze swoją myślą, ze swoimi marzeniami o tym, co się spełniło lub zawiodło.”

W pierwszych kilku dniach zwiedziło panoramę ok. dwa tysiące osób. Później zainteresowanie trwało, jednak liczba zwiedzających zmniejszyła się. Skoro obejrzała panoramę Warszawa, można było liczyć przede wszystkim na przyjezdnych. Nie było ich jednak wielu. Dochody z biletów nie okazały się więc tak duże, jak oczekiwano. Do tego panorama miała niewątpliwie konkurencję w postaci „Golgoty” Jana Styki, otwartej w styczniu 1897 roku i zwiedzanej masowo. Oto

więc przyczyny, dla których strona finansowa „Tatr” nie wyglądała najlepiej, stworzenie zaś obrazu musiało kosztować немало (pewności co do sumy nie ma — jedno ze źródeł podaje 100 000 rubli w złocie).

„Panorama Tatr” ekspozowana była przez cały rok 1897 i 1898. W 1899 — pod koniec pierwszej połowy roku — wystawiono ją na licytację. Z obwieszczenia wiadomo, że współwłaścicielami jej byli, obok Lgockiego, dwaj inni ludzie: Steczkowski i Chełmicki. Sprzedana w rezultacie za 1461 rubli, stała się własnością niejakiego Leopolda Engmana. Od niego odkupił płótno zespół osób finansujących nowe zamierzenie panoramiczne Jana Styki, „Męczeństwo Chrześcijan w cyрку Nerona”. Styka „Panoramę Tatr” przeciął i na jej połowie (a więc 60 na 16 m) namalował swe dzieło, które spotkało się z nader mierną oceną. Twórcy „Tatr” wystosowali protest przeciw zniszczeniu ich dzieła, co postępkim



soka. Mieguszwiecki. Mnich. Cubryna. Koprowy. Szczyrbski. Furkot. Hruby. Krywan.
Dolina za Mnichem. Wrota Chatubinskiego. Mury Liptowskie.

Miedziane jako punkt widokowy doradził autorom „Panoramy Tatr” Walery Eljasz. Przy okazji studiów, sam ją narysował do swojego przewodnika po Tatrach (wyd. VI, r. 1900). Nazwy szczytów umieścił u dołu, podpis ogólny: „Widok z Miedzianych ku południowi”. (Red.)

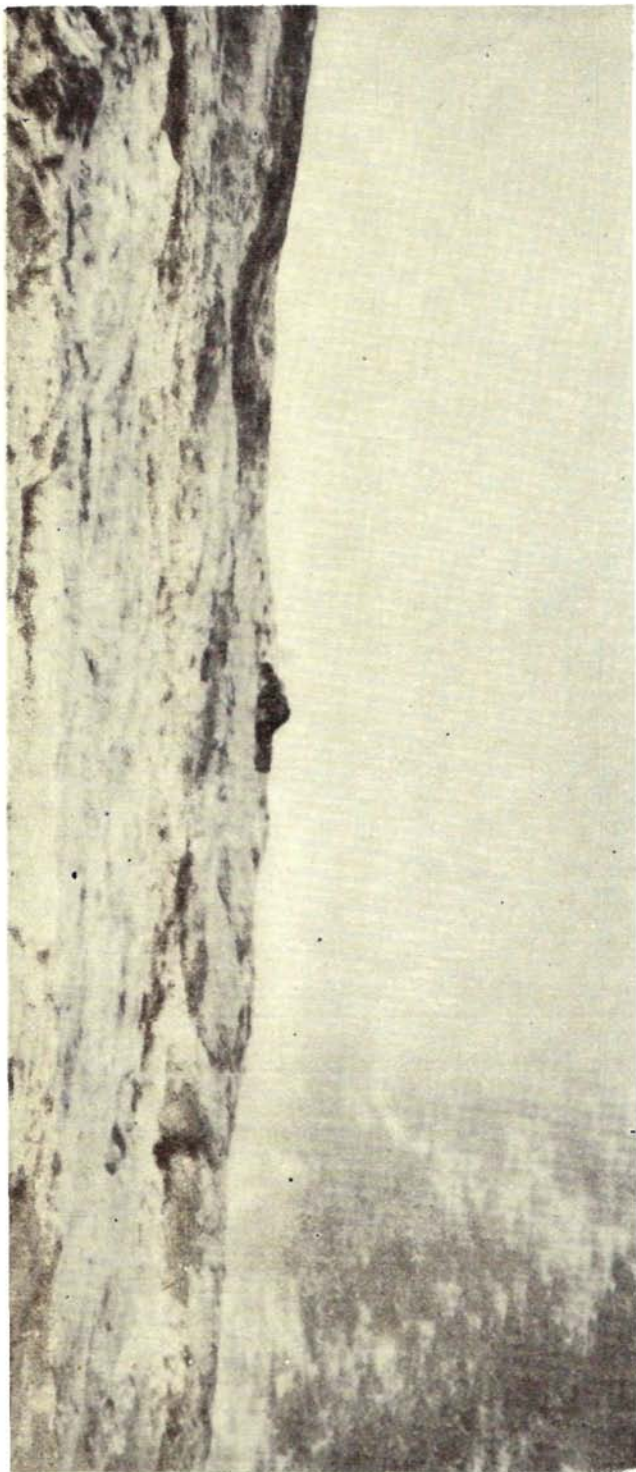
fair istotnie nie było. Wymęczone „Męczeństwo” wystawiane było w r. 1900 nawet w Paryżu. Los drugiej połowy płótna jest mi nieznamy, nie potrafię również odpowiedzieć na pytanie, czy „Męczeństwo” wróciło do kraju.

Taki więc był koniec „Panoramy Tatr”, osobliwego dzieła, które publiczność mogła oglądać zaledwie dwa i pół roku. To chronologicznie drugie (w kolejności ukończenia) panoramiczne dzieło polskich malarzy miało, jak wspomnieliśmy, rozmiary 120 na 16 metrów, liczyło zatem 1920 m² powierzchni (0,19 ha!). Przyjmuję te dane za Tetmajerem, którego w sprawach „Panoramy Tatr” uważam za autora najbardziej wiarygodnego. Odnośnie rozmiarów „Raciawice” podawane są dziś różne liczby, jednak dane z okresu otwarcia mówią prawie zawsze zgodnie: 120 na 15 metrów (1800 m²). Tak więc „Tatry” przewyższyły powierzchnią „Raciawice” o 120 m² — wobec czego właśnie to dzieło malarstwa należało-

by uznać za największe powierzchniowo w całym Tysiącleciu.

Jedynym ich znanym mi śladem są dziś dwa szkice w Muzeum Narodowym. „Polski Słownik Biograficzny” przypisuje ich autorstwo Janowskiemu, nie mam jednak co do tego pewności. Czy raczej nie były dziełem zbiorowym, pod jego tylko kierunkiem?

Szkoda, że nie możemy obejrzeć „Panoramy Tatr”. Tego typu malarstwo jest dziś przez koneserów sztuki traktowane pogardliwie, nie należy wszakże wymagać od panoramy więcej, aniżeli ona może dać. Jest obrazem z dziedziny dokumentalistyki i w tym tylko zakresie można ją oceniać. „Tatry” zaś w tej klasie były dziełem na pewno wartościowym, o czym świadczy choćby fakt, że nie najgorsze pędzle tę panoramę malowały.



„Było tak cudownie, że chętnie spędziłbym jeszcze parę dni i nocy w ścianie”.

(Mój Partner)

Rankiem 29 grudnia idziemy po skrzypiącym śniegu przez uśpioną wieś i potem długą, cichą dolinę, zostawiając za sobą czar kołęd, choinki i całego, jedyne go w swym nastroju czasu Bożego Narodzenia.

Kiedy od drogi skręcamy na stromszą ścieżkę, podnoszę na chwilę głowę i patrzę na ścianę. U góry, w kociołku i w zacięciach, jest zupełnie białe od śniegu. Nawieszająca się nad doliną Turnia mający w mroku jak szarobiała nierzeczywista zjawia. Opuuszczam pośpiesznie wzrok i przez resztę podejścia starannie uni-

BERNARD UCHMAŃSKI

S Y L W E S T E R N A R A P T A W I C K I E J T U R N I

kam spojrzenia tam powtórnie. Chcę przejść przez te chwile zbliżania się do ściany, kiedy w jej wyglądzie — jeszcze ogarnia się ją wzrokiem w całości — jest najwięcej grozy, i być już całkiem blisko, kiedy ściana zaczyna „rozmieniać się na drobne”.

Wiążemy się. Początek drogi jest w miarę łatwy, ale już stanawszy na czubku odpięniętej turniczki, widzi się gładką, pionową a może przewieszoną rozległą płytę — całą połączyć ściany ciągnącą się na kilkadziesiąt metrów do góry i na boki. Nie ma na niej żadnej wyraźnej rzeźby, spękań czy systemów rys, do których tak przyzwyczaił nas dobry granit. Tu po raz pierwszy ogarnia mnie

Raptawicka Turnia w zimie — pierwszy wyciąg trudności. Wspina się B. Uchmański. Zdjęcie wykonane przy prószącym śniegu.

Fot. Jan Juszkiewicz

zwątpienie. Ale mija trochę czasu i jestem o kilka metrów wyżej — na oblodzonym stopieńku z trawką. Z pomocą pionowej rysy i potrzaskanych bloków znów zyskuję trochę wysokości. Ryska jednak rozplywa się w płytach. Szukam jakiejś szczeliny, pęknięcia. Nie znajduję nic. Po raz drugi przychodzi zwątpienie. Gdybym miał haki „bocianki” pewnie próbowałbym zaczepiać je na jakichś chropowatościach, ale nie mam. Mam za to w kieszeni nieduży kołek. Nad głową dostrzegam płytką dziurkę w skale, chyba jakieś wymyście. Zacinam w nim pętelkę, przybijam kołkiem, pod własnym ciężarem nie wypadają — może utrzymają i mnie? Wołam do Kazika, żeby uważał, bo próbuję. Delikatnie obciążam pętelkę. Po chwili wiszę już na niej i rozglądam się — co dalej? Wbijam nit i z jego pomocą dochodzę do starego nita. W tej części ściany parę razy wydaje mi się, że brak możliwości, aby iść wyżej. Ale to tylko złudzenie. Wścibiam posłuszne kawałki żelaza w dziurki, nie w rysy ani pęknięcia — tu już całkiem trzeba zapomnieć o granicie — tylko w dziurki, tak małe, że trzeba wykazać sporo wyobraźni, aby uwierzyć, że tam wejdzie hak. Znów kilka metrów, drugi stary nit, trochę wyżej ukośna rysa pod małą przewieszką. Nad przewieszką zmurszała skała dudni niezdrowo pod młotkiem. Haki wbite od dołu wchodzą bardzo łatwo i dają się wyciągnąć palcami.

Zapada już wczesny grudniowy zmierzch — dzień w tym okresie trwa zaledwie 7 godzin! Decyduję się tu biwakować. Dobijam drugi hak (wchodzi tylko czubkiem) i wyżej nit, który łączę z hakami pętelką. Muszę im zaufać aż do rana — na 17-godzinny grudniowy noc. Kazik przysłał mi śpiwór i jedzenie. Śpiwór naciągam od dołu, długo nie udaje mi się zasunąć zamków błyskawicznych: jeden zamyka dół śpiwora, drugi powinien sięgać aż pod brodę, ale zaciągam go tylko do pasa. Wyżej ze śpiwora wychodzi pęk pętli od ławek i liny. Trzymam w garści od środka obie połę śpiwora na piersi. Na głowę i twarz naciągam zapasowy czerwony sweter. Grzeję się własnym oddechem. Wieczorem wołają do nas z drogi nasi koledzy z Wrocławia. Odpowiadam, że wszystko w porządku.

W nocy zaczyna cichutko padać śnieg. Pada do rana i przez cały drugi dzień. Od czasu do czasu strzepując z siebie białą warstwę i sięgam po suchy owocowy, który przegrzgam sobie całą noc. Wiszę dotykając skały tylko czubkami butów. Rano jeszcze o szarówece, przychodzi z bazy Jasek z gorącą herbatą i świątecznym domowym ciastem, które wciągają na repsznurze.

Wyżej jest tak samo jak wczoraj. Po paru hakach i nitach dochodzę na wysokość skalnego stopnia. Staję jedną nogą w ławeczce

zaczepionej na nicie, drugą robię krok w prawo na stopień. Usiłuję wbić hak, daleko w prawo jest szczelina. Kiedy hak wchodzi, cały duży blok wysuwa się ze ściany. U góry, tam, gdzie domyślałem się chwytów, widzę na skale warstwę śniegu i lodu. Stopień też jest śliski, ledwo oczyszczony znów pokrywa się padającym stale śniegiem. A więc nit i dwa metry dalej stanowisko.

Ściągam Kazia. Zostaje on na nicie — na stopniu nie ma dla dwóch miejsca — i asekuruję mnie kiedy wchodzę w przewieszki. Haki wbijam w dno różnych dziupli i wklęśłości. Tu już idzie się szybciej, ale ostatnia przewieszka nakryta jest grubą czapą śniegu. Wynurzam się do pasa nad krawędź i dogrzebuje się do jakichś chwytów za kępkami zamrzniętych trawek.

Już się znowu ściemnia. Ostatnie metry wspinam się przy latarce czołowej. Wychodzę z ławczek i wbijając ręce po łokcie w śnieg idę w górę. Gole dłonie są mokre, nie pamiętam, że jest mróz. Przypominam sobie o nim, kiedy dotykam żelaza haka i karabinka. Ręka przylepia się do metalu, mróz łapie mnie za dłonie. Jeszcze kawałek i zakładam stanowisko z dwóch kołeczków.

Ściągając partnera czuję, jakbym miał w prawym bucie bardzo mokrą, zimną skarpetę. Kazio w ładnym stylu dochodzi do mnie i od razu rozgląda się za grotką, która według opisu gdzieś tutaj powinna być. Trafia do niej parometrowym trawersem. Co za odkrycie! Jaskinia jest sucha, zaciszna, idealnie nadaje się na biwak. Spimy po królewsku na suchym piaseczku pokrytym masą drobnych kostek. Jednak ranek nie jest wesoły. Okazuje się, że nie mam czucia w prawej stopie, którą odmroziłem chyba na pierwszym biwaku. Kazio jest zdumiewająco troskliwy. Rozcieramy nogę rękami i skarpetą ale najlepsze jest biczowanie. Przy końcu pętli robimy węzełek i Kazio na zmianę ze mną mocno biczuje mi stopę. To pomaga, lecz dopiero po paru godzinach. Ogromny ból pod uderzeniami daje mi znać, że noga ożywa.

Dalszą wspinaczkę możemy zacząć dopiero po dwunastej w południe. Systemem zacięć zapranych śniegiem idę aż do końca 40-metrowego wyciągu. Duży ruchomy blok zaklinował się w kominku. Za łada dotknięciem ruszy się i najskromniej licząc może nam pociąć linę. W szerokim rozkroku między śnieżną grańką i ścianą kominka zakładam stanowisko, a kiedy dochodzi Kazio przenoszę się wyżej. Przekopując się przez zasypy jestem pod gładką płytą nakrytą okapami. Teraz w górę i pod nimi skośnie w lewo. Spotykam stare haki. Robię daleki trawers z wahadełkiem za żeberko, kołek — i jestem poza cieniem okapów. Wydaje mi się, że widzę grań. Ściana jest tu zupełnie biała, dokładnie oble-

piona śniegiem, nachylenie nie zmniejsza się. Aby dostać się do czegoś, o co mógłbym zaczepić rękę, zrzucam śnieg, rozkopuję całe wiszące zaspy. To samo z czyszczeniem szczeplin na haki. Jest krucho. Wielkie odstrzelone bloki opierają się niepewnie o ścianę. Idę ich skrajem. Niepostrzeżenie zapada zmierzch. Zapalam czołówkę. Ściana widziana w dużym skrócie wydłuża się, a grań nade mną znowu się oddala. Wyciąg „trwa” już ponad 30 metrów, a jestem dopiero w połowie bloków. Muszę stanąć w ławeczce, która prostując się pod obciążeniem zachodzi za występ odpiętego boczyska. Staram się nie opierać o niego, tylko czubkiem buta z boku. Czuję, że już blisko koniec trudności, robię więc wszystko, aby teraz czegoś nie popsuć. Zająty małym kawałkiem ściany w zasięgu rąk, z rzadka tylko ogłdam się w dół, żeby sprawdzić czy lina nie załamuje się zbyttno i czy się nie klinuje. Snop światła czołówki wyszukuje obie żyły, które gubią się w ciemności. Pode mną jest czarno i pusto. Mojego partnera dawno nie widać i coraz słabiej go słyszeć. W tych krótkich chwilach kiedy się odwracam, czuję się troszkę samotny.

Dochodzę do domniemanej grani, która okazuje się być tylko krawędzią ściany. Grań i wierzchołek są jeszcze o wyciąg dalej. Robię stanowisko z pętelek zaczepionych o odgrzebane bloki i z paru słabych haków. Nie chcę, żeby Kazio przebywał po ciemku ten długi i skomplikowany wyciąg, choć wtedy zdążylibyśmy na wspólnego Sylwestra na Polanie Chochołowskiej. Jeszcze jeden biwak. Zaczynam się zagospodarowywać. Wtedy pod ścianę przychodzą chłopcy. Ja już ich nie widzę ani słyszę. Z niewyraźnych odgłosów domyślam się, że rozmawiają z Kaziem. Dzisiejsza noc jest najzimniejsza, zaczyna wiać północny wiatr. To mój pierwszy Sylwester spędzony rzetelnie w górach.

Wyrabuję sobie fotelik w zmarzniętych trawkach, wyścielam go folią i siadam na próbę. Zsuwam się po śliskiej folii, więc pogłębiam fotelik, zamieniam folię na plecak, naciagam na nogi śpiwór i usadawiam się twarzą do ekspozycji. Czuję się jak bym siedział ze spuszczoneymi nogami na krawędzi bardzo wysokiego dachu. Podciągam śpiwór do piersi, głowę nakrywam czerwonym swetrem. Aby nie wypaść z „fotelika” wbijam w trawki jeszcze dwa haki. Pada śnieg a może to tylko wiatr go zwiewa? Uchylam okrycia. Ależ tak, nie może padać. Niebo jest czyste i niesłychanie wygwieżdżone. Majaczą góry w świetle gwiazd, które rozjaśnia śniegi. Z prawej grzbiet Ornak, Błyszcz i Bystra, nad ciemnym Krakowem — Ratusz i Saturn, w górze Twardy Uplaz, pode mną głęboko wcięta dolina, skąd z Hali Smytniej dolatuje wrzawa zabawy, widać ognie pochodni. Pewnie ornakowi goście wyszli powitać Nowy

Rok. Ale najważniejsze mam przed sobą. Ponad białymi turniami Zdżarów po drugiej stronie doliny błyszczą wspaniały Orion. Jest tak bliski, tak wyraźny... Odłamuję kawałki zmrożonego śniegu, rozpuszczam je w ustach i piję. Jestem okropnie spragniony. Do rana kilkanaście godzin, zjem całą śniegową skorupę wokół siebie, dokąd tylko dosięgnę ręką.

Wiatr nie słabnie. Mróz co najmniej 20 stopni. Kiedy się rozwidnia, słyszę strzępy okrzyków Kazia, sam też wrzeszczę, ale wiatr rozprasza słowa po załamach ściany. Wyłażę ze śpiwora i próbuję ściągnąć liny. Początkowo nie idą lecz po chwili wyczuwam luz. Ściągam na zmianę czerwoną i niebieską. Stojąc znów czuję na prawej stopie mokrą i zimną skarpetę. Wiem, że to daje znać o sobie odmrożenie.

Kiedy Kazio kończy trawers pod okapami nareszcie go słyszę a niedługo potem też widzę. Wiatr zwiewa okruszki lodu i zmrożonego śniegu i uderza nimi po twarzy. Rozgrzewam marznące mimo rękawic dłonie. Jest mi skrajnie dobrze. Wiem, że mój partner niedługo dojdzie, a reszta drogi nie wygląda już tak deprymująco jak dolne odcinki. W pewnej chwili nachylny przy manipulacjach z liną słyszę przez wicher jakby ktoś z góry wołał. Odpowiadam. To pewnie chłopcy podchodzą po nas pod grań z drugiej strony, od przełęczy.

Mój partner już dochodzi do stanowiska. Pokazuję mu stopień — ostry ząbek skalny, który oczyściłem z lodu. Stopień jest na samej krawędzi i kiedy Kazio staje na nim w szerokim rozkroku, ma całą ścianę pod nogami. Świerki w dolinie wyglądają z góry jak białe kółka z ciemnymi środkami i rozchodzą się od nich promieniście siatką żyłek-galezi. Biorę trochę żelastwa i idę do góry. W kociołku śnieg jest ubity przez wiatr. Z trzech stron otoczony jestem niewysokimi grzaniami. Skręcam do kominka, którym wchodzę na grań. Trudno ustać na nogach. Wiatr spycha z powrotem. Dostrzegam Piotra, który stoi na skałce poniżej. Nawet nie potrafię wyrazić radości, że go widzę. Trzy dni temu leżał w łóżku z gorączką. Przez mały uskok wlażę na wąską grań, oczyszczam ją ze śniegu, zrzucam rękami całe nawisy. Odgrzebuję blok do asekuracji. Kazio likwiduje mój biwak i szybko jest przy mnie. Padamy sobie w objęcia i całujemy się w obrośnięte gęby. Teraz z Piotrem i Romkiem, który wynurzył się niespodzianie zza skałki.

Zbiegamy cudownym lasem okrytym świeżym śniegiem na Pisaną. Jasiek i Kazio „Sokół” wychodzą nam naprzeciw. W cieple i gwarze u Pitonia, jest przecież Nowy Rok, pijemy herbatę z tradycyjnym tu piernikiem. Jest czekolada. Sankami Marduły zjeżdżamy do Kir. Z drzwoneczkami.

KAZALNICA

styczeń 1968

Pierwsze zimowe przejście drogi Chrobaka i Heinricha na północno-wschodniej ścianie Kazalnicy było najładniejszym osiągnięciem kalendarzowej zimy 1967/68 r. i jednym z najlepszych przejść zimowych w Tatrach w ogóle. Dokonał go Tadeusz Piotrowski i Wojciech Jedliński w dniach od 20 do 23 stycznia 1968 r. w śmiałym dwójkowym ataku. Szczegółowe horarium zamieścimy w najbliższym numerze „Taternika”. (Red.)

Droga, z którą postanowiliśmy się zmierzyć, była opisywana jako jedna z najtrudniejszych w Tatrach. O tym, że jest naprawdę trudna, przekonałem się osobiście, próbując ją przejść latem.

Po wielu dniach oczekiwania byliśmy skłonni uwierzyć, że ani mróz, ani wiatr wyczyniający na granicach dzikie harce nie pozwolą nam wyjść w ogóle w góry i w końcu nadejdzie termin powrotu do miasta. Nastąpiło jednak ocieplenie.

18 stycznia grubo przed świtem wyszliśmy ze schroniska. Padał mokry śnieg, na stawie nogi zapadały się z chlupotem, pozostawiając głębokie mokre ślady. Nasze plecaki były spakowane na pięciodniową wspinaczkę i solidnie ciążyły. Cały dzień dążyliśmy do góry, a kiedy zapadła decyzja odwrotu — nie była ona konsekwencją naszej słabości, lecz obiektywnych warunków: ciągłego opadu śnieżnego i przeszło dwudziestu lawinek pyłowych, jakie się przez nas przewalały. Przeszliśmy dolną łatwą partię i znaczną część pierwszego wyciągu trudności. W ścianie została żywność i sprzęt.

*

20 stycznia — po odpoczynku i wysuszeniu ekwipunku — ruszyliśmy ponownie. Była mgła i miałem wrażenie, że znowu zacnie sypać śnieg. Spotkała nas jednak miła niespodzianka: w połowie progu Kotła Czarnostawiańskiego wyszliśmy ponad chmurę; wyżej panowała piękna pogoda.

Dzięki pozostawionym poprzednio linom szybko dotarliśmy pod właściwe trudności. Tadeusz założył stanowisko, ja przygotowałem się do wspinaczki. Wykorzystując tkwiące w skałe haki szybko doszedłem do klasycznej części trawersu. Klasycznej na pewno latem. Teraz chwyt przykrywała kilkucentymetrowa warstwa wodnego lodu. Po żmudnych poszukiwaniach odkryłem jakieś szczeliny. Prowadziły one jednak dużo niżej — na wysokości moich stóp. Więc dalej — trawers z obniżeniem. Wreszcie ostatni problem: wyjście na trawiastą półeczkę, w czym zawieźć musiałem simondowskiemu wkretowi, wbitemu na kilka skoków gwin-

tu w zmrożoną ziemię. Wszystko to trwało bardzo długo, a przecież jeszcze trzeba było wyciągnąć plecaki. Była to ciężka praca, bo czas naglił. Następny wyciąg przeprowadził Tadeusz, przyjęliśmy bowiem zasadę zmieniania się co długość liny.

Technika podciągowa zajmuje dużo czasu, a dzień w styczniu jest krótki. Gdy więc znowu znaleźliśmy się razem, stwierdziliśmy, że niedługo zapadnie zmrok. A przecież biwakowa półka była dużo wyżej. Znowu na mnie wypadło prowadzenie. Było trudno. Postanowiliśmy nie korzystać z „wedki”, której pomoc mocno by tu uprościła sytuację. Niepostrzeżenie zrobiło się ciemno. Tadeusz przysłał mi na sznurze latarkę czołową. Niestety mieliśmy tylko jedną: druga zepsuła się tuż przed wyjściem i została w schronisku jako zbędny balast. Złośliwa pani Zima powlekła szadzią szczelinę, którą biegnie trawers pod okapem. Sprawiało to mnóstwo kłopotów z wyszukiwaniem miejsc na haki. Tam, gdzie latem można już iść klasycznie — znowu lód. Znowu długie wyszukiwanie szczelin. Latarka oświetlała tylko niewielką przestrzeń przede mną. Reszta była czernią, o której zapomniałem, dzięki czemu czułem się zadowolony na swoim kawalku ściany. Z tego przyjemnego bądź co bądź stanu wyrwał mnie czasem głos Tadeusza, domagającego się wiadomości, czy posuwam się do góry. Nie dziwiłem mu się zupełnie. Tkwił tam po ciemku już parę godzin... W końcu z pomocą nieocenionych wkretów dotarłem do stanowiska. Od biwakowej półki dzieliło nas jeszcze kilkanaście metrów, moja robota była już jednak wykonana i mogłem się cieszyć na rychłą kolację.

Również Tadeusz był pełen optymizmu. Szybko doszedł do mnie i od razu ruszył w górę, nie zrażając się małym obsunięciem z powodu źle tkwiącego stałego haka. Osiągnął wymarzoną półkę. Gdy i ja tam stanąłem, była pierwsza w nocy. Chwaląc wygodę miejsca, włożyliśmy kurtki puchowe i gotowaliśmy posiłek za posiłkiem.

Było nam tak wygodnie, że rano ruszyliśmy dopiero około ósmej. Najpierw trzeba było pokonać długi trawers, a potem iść w górę lawirując tam, gdzie mniej lodu. Odcinek ten

ma charakter płytowy i był niezwykle trudny, a każdy krok wymagał długich poszukiwań i prób. Dotarliśmy wreszcie na wysokość „Aniołka”. Było popołudnie, do zmroku pozostała jeszcze godzina. Wiedzieliśmy, że znów trzeba będzie wspinać się nocą. Perspektywa przykra, jednak podyktowana koniecznością, gdyż w przeciwnym wypadku nasza wyprawa trwałaby chyba za tydzień. Zaczęłam skomplikowany trawers. Pospiesznie przeszedłem łatwiejszą część — chciałem wykorzystać każdą chwilę światła wartko uciekającego dnia. Dalej było krucho, brakowało dobrych szczelin. Nade mną widniały niepewne przewieszony bloki. Wiedziałem, że w zacięciu, które tworzy „Aniołek” tkwi stary solidny hak. Ale dzielące mnie od niego metry skały były zupełnie zalodzone. W dodatku ściemniało się. Dociągnąłem więc zapakowaną w rękawicę latarkę czołową i w jej świetle po wielu próbach dotarłem do owego haka. Umożliwił mi on wykonanie wahadła i osiągnięcie stanowiska.

Długi czas odpoczywałem, a potem zaraz zdjąłem raki. Zrobiło się wyraźnie chłodniej. Biwak, który urządziliśmy na „Aniołku” był nie tylko niewygodny ale i pechowy. Chwila nieuwagi i... w dół poleciał nasz benzynowy palnik. W dodatku z całą menażką wrzacej już wody. Od tej chwili nasze pragnienie miało być coraz większe, a menu wyraźnie uproszczone. Ale dwa dni wspinaczki mieliśmy już za sobą, i to — niewiarygodne — przy doskonałej pogodzie. Utrzymywał się niewielki mróz, brak było wiatru. Bardziej nas to nawet niepokoiło, niż cieszyło. Dlatego poczułem niemal satysfakcję, gdy trzeciego dnia przed świtem stwierdziliśmy opad śniegu. Pogoda się zepsuła, mimo to żaden z nas nie pomyślał nawet o możliwości odwrotu. Zarówno teraz, jak i później dalecy byliśmy od jakichkolwiek defetystycznych myśli.

Trzeci dzień był dniem popisu Tadeusza. Teren ponad „Aniołkiem” łączy w sobie najwyższego stopnia trudności klasyczne z męczącym podciąganiem na jednostajnie przewieszanej skale. Dodatkowe utrudnienie stanowił znaczny mróz (15°) i drobne lawiny zmiatane silnym wiatrem. Wspinaczka stała teraz pod znakiem pośpiechu. Zgraliśmy się już doskonale, a komendy „ściągnij!” — „blok!” były jedynymi okrzykami rozbrzmiewającymi w ścianie.

Tego dnia oczekiwał nas wyciąg koło tzw. Wielkiego Okapu, o którym wiadomo było, że obejmuje największe chyba techniczne trudności. Powyżej, na wygodnej półce nazwanej malowniczo „wiszącym ogródkiem”, postanowiliśmy urządzić biwak. Zachodziło słońce, gdy Tadeusz zaczął forsować tę ostatnią w trzecim dniu przeszkodę. Wzmagął się mroźny wiatr, słyszałem jak huczy i świszce

w górze ponad nami. Porywy były chwilkami tak silne, że wytrącały mnie z równowagi. Było bardzo zimno. By nie stracić czucia w palcach, bez wytchnienia ruszałem nimi i uderzałem o skałę aż do bólu. Spiewałem dla rozgrzewki lub wołałem do Tadeusza, co słychać. Cieszyłem się, gdy odpowiadał, że znalazł następną szczelinę, lub że haki trzymają wcale dobrze. W końcu światło znikło za przełamaniami okapu, w zasięgu wzroku pozostał tylko ciemny pion skał. Sceneria i nastrój były tak niezwykle, że nie wiedziałem, czy wrażenia odbieram prawidłowo, czy podpowiada mi je moja fantazja... Tymczasem w górze Tadeusz odcinał dodatkowe pętle z linki pomocniczej. Zdwoiliśmy uwagę, ale w tych warunkach małe przeoczenie wystarczyło, by repsznur spadł w dół, co skomplikowało nam transport plecaków. Długo trwała jednakże moja wspinaczka: szedłem po omacku wybierając haki, o północy dopiero znalazłem się na półce.

Ostatni biwak był ciężki. Apatycznie naciągaliśmy na siebie ciepłe rzeczy. Wiatr wdzierał się do płachty sypiąc śniegiem. Zmęczenie zobojętniało wobec wrażeń z tej niezwyklej nocy. Jedliśmy mało, gdyż od żucia w ciągu dnia kawałków lodu mieliśmy spokane wargi i pokaleczone języki. Nad ranem na benzynowym „ognisku” roztopiliśmy w menażce trochę śniegu i letnią wodą popijaliśmy kawałki sera i pokruszone herbatniki. Zaczynał się czwarty dzień w ścianie — nad nami było jeszcze 50 metrów trudności.

Gdy osiągnęliśmy stanowisko nad „Sokolikiem” wiedziałem, że ściana się poddała. Skomplikowanymi trawersami pokonał Tadeusz ostatnie 10 metrów i ściągnął plecaki. Przyszła kolej na mnie. Obejrzałem się jeszcze raz w dół: w szalonym skrócie widać było ścianę — rzadko w Tatrach ma się ekspozycję o tak wspaniałej głębi. Zmierzchało się, gdy wchodziliśmy w trawers ponad górnym kotłem. Znowu dał porywisty wiatr, kontury grani i ścian rozmazywały się we mgłach. Bez wytchnienia torowaliśmy w sykim śniegu. Jednak było już zupełnie ciemno, gdy stanęliśmy na wierzchołku. Ścisaliśmy się pełni radości i może trochę wzruszeni.

Gdy zeszliśmy nad staw, widoczność poprawiła się. Zadarłem głowę: zerwy Kazalnicy czerniały wysokie i groźne, ale nie były już dla nas wyzwaniem. Skierowaliśmy się w dół, brnąc czasami po pas w śniegu. Oszołomiony zmęczeniem, pozostawiałem zygawkę ślad. W schronisku długo siedzieliśmy, pijąc herbatę. Patrzyłem na Tadeusza: rysy mu się wyostriły, twarz wychudła, jakby postarzał się o wiele lat. Ściany schroniska skrzypiały od uderzeń wiatru. Znowu padał śnieg.

Zgrupowanie KDL — marzec 1968

Sześć narodowości zjechało na doroczny — trzeci już z kolei — obóz wyczynowy Krajów Demokracji Ludowej przy Morskim Oku w w Tatrach. Bułgarzy — Atanas Kowandziejew i Bogdan Nikolov, Niemcy — Volker Krause i Harald Löbe, Polacy — Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz (Szczecin), Rumuni — Aurel Irimia i Mircea Mihailescu, Słowacy — Valentin Kanyar i Milan Kriššak oraz Węgrzy — Huba Holler i István Szenthe. Z zaproszonych gości nie przybyli tylko alpinisci radzieccy. Kierownikiem obozu był Andrzej Mróz.

Większość uczestników reprezentowała wysoki poziom sportowy. Dwójka Bułgarów w ubiegłym roku uczestniczyła w zgrupowaniu ENSA, przechodząc m. in. Filar Bonattiego na Petit Dru oraz filar Walkera. Kriššak latem 1967 r. bawił prywatnie w Chamonix, przechodząc w świetnym stylu takie ściany, jak północna Petit Dru, wschodnia Grand Capucin i Filar Walkera (wszystkie w jednolitych wspinaczkach!), Kanyar przeszedł m. in. północną ścianę Matterhornu (zob. s. 91). Niemcy i Węgrzy nie działali co prawda w Alpach, ale znali z poprzednich pobytów Tatry („Taternik” 1/1968 s. 42) i Alpy Julijskie. Dobrek naszych reprezentantów jest ogólnie znany.

Obóz rozpoczął się 3 marca. Pogoda zrazu była sprzyjająca, śnieg twardy i dobrze związany. Gorsze warunki panowały powyżej 2200 m, gdzie cukrowaty śnieg leżał pod łamliwą pokrywą. Wykorzystując pogodę, Węgrzy już 3.III przeszli lewy filar Cubryny, a następnego dnia — wraz z zespołem słowackim — weszli w Filar Mięguszowieckiego. Polacy zaatakowali północną ścianę tego szczytu — drogą wprost, napotkali jednak w górnej partii zły śnieg, który zmusił ich do wytrawersowania na Wielką Galerię Cubryńską. Oba zespoły na filarze osiągnęły wierzchołek 5 marca, omijając klasyczny wariant w kopule. Niemcy tego dnia weszli na Mnicha. Na 6 marca wszyscy uczestnicy przygotowali się do wielkich wyczynów, niestety w nocy zachmurzyło się, zaczął sypać śnieg i zerwał się wiatr. Niepogoda utrzymywała się przez następne dni. Bułgarom udało się w ciężkich warunkach przejść odcinek grani od Ząbkiej Czuby po Rysy. Niemcy skracali czas świetnie, jeżdżąc na nartach. Piękny wynik udało się osiągnąć Piotrowskiemu i Prusiszowi, którzy wespół z J. Kielkowskim (Kraków) i J. K. Rusieckim (Warszawa) wykorzystali jednodniowe przejaśnienie i 9 marca dokonali I zimowego przejścia, drogi Kowalewskiego na Młynarczyku (zob. s. 55).

Do końca obozu (16 marca) dotrwali tylko Polacy i Słowak Kriššak. Mimo wszelkich przeciwności aury, uczestnicy zgrupowania zgodnie orzekli, że impreza ta ma duży sens i jej organizowanie w przyszłości jest ze wszech miar pożądane.

Andrzej Mróz

Śladami Polaków

Czasopismo Federación Argentina de Montañismo y Afines — „La Montaña” — w zeszycie grudniowym 1967 r. przynosi obszernie sprawozdanie z wyprawy urządzonej przez Centro Andino Buenos Aires (CABA) w rejon Ramady, po raz pierwszy spenetrowany przez wyprawę Klubu Wysokogórskiego w 1934 r. Celem ekspedycji CABA było ukończenie przejścia południowej ściany Mercedario (6770 m), mającej 1500 m wysokości i nachylenie dochodzące do 65°. Ścianę tę zaatakowała w roku 1963 wyprawa CABA i CAM, nie zdołała jednak osiągnąć szczytu, co z powodu złej pogody nie powiodło się także i ostatniej ekspedycji. Dokonano na-

tomiast tym razem drugich wejść na zdobyte przez Polaków szczyty Cerro Negro (5900 m) i Alma Negra (6120 m — 26 lutego 1967 r.). Artykuł zawiera kilka ciepłych wzmianek o Polakach, a z wierzchołka Alma Negra autor notuje: „Wielkie było nasze zaskoczenie, kiedy w małym kopczyku kamieni znaleźliśmy dokumenty pozostawione 33 lata temu przez uczestników ekspedycji polskiej. Wyjmując bileciki naszego przyjaciela inżyniera Wiktora Ostrowskiego i jego towarzysza dra Dązińskiego (J. K. Dorawskiego — Red.), zrozumieliśmy, że dokonaliśmy drugiego wejścia na szczyt”.

Artykuł w „La Montaña” jest uzupełniony mapką rejonu, która podaje wysokości szczytów nowe w stosunku do tych, jakimi operujemy w naszych publikacjach (J. Wojsznis „Polacy na szczytach świata”, ss. 32 i 52; „W skałach i lodach świata”, s. 54). Między innymi do wysokości z górą 6000 m awansuje Pico Polaco. (jn)

Alpinizm w Estońskiej SRR



Grupa alpinistów estońskich na Szczycie Lenina w sierpniu 1965 r.

Fot. Albert Sulg

Estonia jest najmniejszą z republik Związku Radzieckiego (pow. 42 000 km²; ludność 1 300 000), położoną na południowym brzegu Zatoki Fińskiej. Jest to kraina równinna, a jej najwyższy punkt wznosi się zaledwie 314 m nad poziom morza. Uprawianie alpinizmu nie jest tu więc możliwe. Jedynym naturalnym terenem wspinaczkowym są osiagające wysokość ok. 40 m brzegi Zatoki Fińskiej, o płytowym charakterze. A jednak tak się złożyło, że historia alpinizmu rosyjskiego związała się z Estonią. Mianowicie w roku 1829 profesor uniwersytetu w Dorpacie (Tartu) — F. Parrot — dokonał wraz z kilkoma towarzyszami I wejścia na szczyt Wielkiego Araratu (por. „Taternik” 4/1967 s. 155). Moment ten uznano za początek alpinizmu rosyjskiego.

Aż do wybuchu II wojny światowej szczególnie alpinisci estońscy wchodzili na szczyty Kaukazu, Alp a nawet Tatr, niestety nie zachowały się żadne materiały drukowane na ten temat, lecz jedynie wiadomości przekazywane ustnie.

Dopiero po wojnie zrodziło się u sportowców estońskich zainteresowanie alpinizmem. Latem 1956 r. sześciu członków zrzeszenia Kalev przeszło przeszkolenie wysokogórskie w Kaukazie. W roku następnym na obozach alpinistycznych w Kaukazie przebywało 47 osób, w 1958 — 80 osób, a w 1959 — już 100 osób. Obecnie około 120 alpinistów wyjeżdża co roku z Estonii w góry, a oprócz tego pewna ilość uprawia turystykę wysokogórską. Do r. 1959 alpinisci estońscy wspinali się tylko w Kaukazie. W r. 1960 została zorganizowana I Estońska Wyprawa w Pamir. Z jej 17 uczestników, 16 dokonało wejścia na dziewięć szczytów o wysokości 6211 m (trudności

IIIA), wznoszący się w Grzbiecie Zaalajskim, na wschód od Piku Lenina. Po zatknięciu na wierzchołku flagi estońskiej, nazwano go Pik Estonia. W latach 1961—64 alpinisci estońscy dwukrotnie wyprawiali się w Tian-Szań. Dokonali tam m. in. wejścia na szczyt o trudnościach VA. W r. 1965 miała miejsce 16-osobowa II Estońska Wyprawa w Pamir. 14 jej uczestników weszło na Pik Lenina od strony południowej, z lodowca Oktiabrski.

Obecnie Estonia posiada około 200 aktywnych alpinistów, którzy przynajmniej raz na 2 lata przebywają w górach wysokich. 70% z nich reprezentuje stolicę republiki, Tallin. Pozostali należą do kół sportowych w Dorpacie (Tartu) — ognisku estońskiej kultury i nauki.

Alpinisci estońscy nawiązali zażyłe stosunki ze wszystkimi alpinistami ZSRR, a w szczególności z alpinistami Łotwy i Litwy. Regularnie przeprowadza się wspólne wyprawy i imprezy np. tak zwane „Alpinad Balticum”, konkursy na najlepsze przejście sezonu (według reguł opracowanych przez Federację Alpinizmu ZSRR), wreszcie zawody we wspinaniu na miejscowych skałkach (brzegi Zatoki Fińskiej). Do tradycji należą już coroczne spotkania alpinistów nadbałtyckich w jednej z republik. W r. 1967 spotkanie takie odbyło się w Kownie.

Latem tegoż roku grupa estońskich alpinistów bawiła w Polsce („Taternik” 4/1967 s. 178). Niestety w Tatrach mogliśmy spędzić tylko półtora dnia, a mocno napięty program pozwolił nam tylko „zdobyć” Giewont i Kasprowy Wierch. Mamy jednak nadzieję, że powrócimy jeszcze w Tatry, tym razem jako wspinacze.

Tłumaczyła Raisa Hierzyk

Nowe drogi w Tatrach

Zmarłe Czuby

I wejście lewą częścią pn. ściany: Jacek i Wojciech Jedliński, 22. VII. 1965. W dolnej części trudności V i H1 (4 haki) — 3 godz. (czas I przejścia 5 godz.).

Wejście w skały kilkadziesiąt metrów na lewo od komina, którym wiedzie droga WHP 134. Ze spiczastego bloku wystającego z piargów zakleszczaniem w górę pod przewieszoną ściankę, potem w prawo stromym zachodząkiem do jego najwyższego punktu. Stąd ścianką na krawędzi płyt 4 m, a następnie skośnie w lewo na początek stromej płytowej półki. Tuż przed jej końcem przez przewieszkę do trawiastych zagłębień, którymi w górę pod następne przewieszki. Teraz w prawo za krawędź żeberka i przez przewieszoną ściankę (2 haki) do zacięcia. Nim do końca, potem w prawo, przewijając się pod przewieszką, a następnie w górę na gładką płytę pod pasem przewieszonych skał. Stąd w prawo przez podcięte żeberko (2 haki), po czym w górę na wysokość wielkiej podciętej płyty, którą trawers w lewo do jej końca. Krawędzią płyty do góry a następnie do wygodnej nędzy pod przewieszką, którą obchodzimy z prawej strony dobrze urzeźbioną ścianką. Dalej przez przewieszkę na łatwy teren, którym dowolnie na wierzchołek. W. Jedliński

Głazna Turnia

I wejście środkiem pn.-wsch. ściany: Andrzej Byczkowski i Władysław Gąsienicki, 7. II. 1968. Droga posiada charakter wybitnie zimowy. Trudności IV, czas I wejścia ok. 5 godz.

W trójkątnej pn.-wsch. ścianie Głaznej Turni (ok. 150 m wysokości — zob. „Taternik” 3-4/1965 s. 115) znajduje się w linii spadku wierzchołka charakterystyczna rynna odchylająca się w górę w prawo. Nad stromym trawnikiem, stanowiącym dolną część ściany, spietrza się ona kilkunastometrowym progiem.

Trawnikiem, a następnie łukiem po skałach na lewo od progu do depresji, która wyprowadza na żeberko ograniczające ścianę od lewej strony. Zeberkiem na podszczytowe trawiaste pole śnieżne, dobrze widoczne z dołu. Nim na szczyt. A. Byczkowski

Kazalnica Mięgoszowiecka

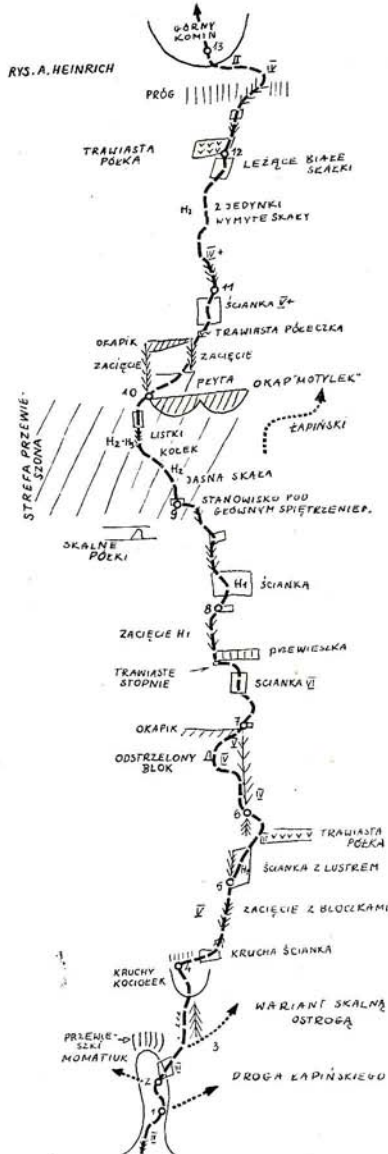
I wejście direttissima pn.-wsch. ściany: Maciej Pogorzelski i Andrzej Heinrich, 6-7. VIII. 1964 r. Trudności VI, częściowo H2-H3, droga eksponowana i idealnie rozwiązująca środek urwiska. I wejście ok. 22 godz. efektywnej wspinaczki.

Droga biegnie w linii spadku górnego komina, dzielącego ścianę na dwie części.

Wejście w skały stromą rynną (II) o jasnym zabarwieniu, którą prowadzi droga Łapińskiego i Paszuchy. Następnie piarzystą depresją pod pionową ścianką, tworzącą prawe ograniczenie depresji, kilka metrów od miejsca, gdzie depresja kończy się przewieszonym progiem. Przez ściankę (III) na trawiasty teren, dalej trawkami w górę (obok skalnego żeberka z prawej) do kruchego kociołka. Z lewej strony kociołka trawers w prawo ponad nim i przez kruchą ściankę do zacięcia z zaklinowanymi blockami. Zacięciem w górę (V — hak jako uchwyt) aż do ścianki z lustrem tektonicznym w prawym ograniczeniu zacięcia. Pęknięciem w ścianie (H1) osiągamy łatwy teren (II-III) z wygodną półką. (Półkę można osiągnąć omijając kociołek i zacięcie skalną ostrogą z prawej strony).

Nad nami biegnie następne zacięcie przykryte poziomym okapem. Najpierw zacięciem, następnie nieco w lewo obok odstrzelonego bloku pod okapem (IV). Teraz trawers w prawo pod okapem i po przewinięciu prosto w górę pod stromą ścianką. Niał do góry (VI) pod przewieszką z odpekniętych bloków. Pod nią trawers w lewo (V+) na trawiaste stopnie, a następnie zacięciem (H1) w górę na półeczkę pod kolejną ścianką, którą przechodzimy z pomocą haków (H1). Przez 2 rozdzielone progiem następujące po sobie zacięcia osiągamy stanowisko pod głównym spietrzeniem ściany, na lewo od wejścia w „ściankę problemową” na drodze Łapińskiego i Paszuchy. Nad nami duży okap w kształcie motyla.

W strefę przewieszoną wchodzić my jasnymi skałami — najpierw idąc w górę, a potem skośnie w lewo do małego zacięcia, w kie-



runku lewego skrzydła „motylka” (H2—H3, haki, listki i kołki). Jednym wyciągiem dochodzimy do efektownego, jednak dość wygodnego stanowiska nad okapem (po jego lewej stronie). Obok znajdują się 2 biegnące równolegle zacięcia, nakryte małym okapem. Idziemy skośnie w górę do prawego z nich i nim do trawiastej półeczki pod stromą ścianką, którą pokonujemy chwytając się haka (V). Następnie zacięciem (IV+) i dalej przez białe wymyte skały z pomocą 2 „jedynek” prosto w górę, pod koniec łatwo na półkę. Z niej poprzez biegnące w prawo zacięcie (H1) przechodzimy stromy próg, oddzielający nas od kociołka w górnym kominie, który osiągamy po przejściu zacięcia łatwym trawersem skośnie w lewo. Tu łączymy się z drogą Łąpińskiego i Paszuchy.

Droga biegnie w linii spadku górnych kominów Kazalnicy, jest odcinkami źle uszczelniona i zimą zagrożona lawinami, dlatego stanowi b. trudny problem zimo-

wy. W lecie należy zabrać ze sobą okrycia przeciwdeszczowe, gdyż w czasie burzy cała ściana spływa wodą.

A. Heinrich

Kazalnica Mieguszwiecka

I przejście pn.-wsch. ściany lewym skrajem, tzw. Wielkim Zacięciem: Jan Kielkowski, Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz, 23—25 III 1968. Trudności VI, H3. W dolnej części zacięcia skała krucha, dużo urwistych traw.

Droga prowadzi systemem depresji przecinających lewą połąć pn.-wsch. ściany Kazalnicy, na styku właściwej ściany z urwiskami tzw. Kotła Kazalnicy. Wejście w ścianę z głębi charakterystycznej nży u podstawy zacięcia. Prawą ścianką nży z lekkim odchyleniem w prawo, poprzez przewieszoną ściankę (H3) do zacięcia i nim kilka metrów w górę na skalny stopień. Lewą ścianą zacięcia ok. 25 m (H1—V) w górę na trawiastą płaszczyznę. Z niej ukośnie w prawo w głąb zacięcia, którym wprost do góry (H1) pod zamykającą je przewieszkę. Pod nią trawers w lewo i przez jej skraj (H2) do dalszej części zacięcia, którym wprost do góry pod następny pas przewieszonych skał (H1). Tu trawers w prawo (H1) i przez przewieszoną ściankę (H1) na skalny stopień. Z niego w górę (H1) na gładką ściankę i przez nią trawers w lewo do przewieszonego zacięcia, którym w górę na trawiastą płaszczyznę (H2—kołki). W tym miejscu zacięcie traci już na stromość. Nim jeszcze kilkanaście metrów i w prawo przez żeberko, po czym na duży odstrzelony blok. (W tym miejscu przecinamy drogę Olszewskiego).

Z bloku obniżamy się na trawiastą półkę i trawersujemy w prawo do jej końca. Po przewinięciu się za załom ściany (IV), kominem w górę na turnicę w ogromnej nży, łącząc się z drogą Długosza. Razem z nią 4 wyciągi, do miejsca, gdzie przy końcu trawiastej depresji skręca w prawo (varianty J i K drogi nr 6 według opisu w „Taterniku” 1-2/1963 s. 42).

Jeszcze kilka metrów do góry i krótkim kominem na następną trawiastą płaszczyznę. Stąd wprost do góry pod gładkie płyty, a następnie trawers w lewo pod okapiem (H1) i w górę (H1) do odpekniętego bloku. W lewo przez jego krawędź (V) i zacięciem do nastermianych bloków (kruchol). Trawers w lewo na trawiastą półkę. W górę przez ściankę (V) na następną platformę. Z niej wprost do góry zacięciem (H1—V) na skalne stopnie. Przez ściankę do nży (H1—V) zamkniętej od góry okapami. Z niej poziomym trawers w prawo (H1—IV) ponad spiętrzenie depresji na łatwy już teren.

T. Piotrowski

Zabi Mnich

I wejście środkiem płyt zach. ściany niższego wierzchołka (między drogami J. Łackiego i A. Wilczkowskiego): Eugeniusz Chrobak, Krzysztof Cielecki, Jerzy Michalski i Andrzej Skłodowski, 23. VI. 1966. Trudności VI, H2—4 godz.

Wejście w ścianę w miejscu, gdzie skalny cyfel schodzi najniżej w trawę (początek wybiegającego w prawo zachodu). Łatwym terenem 15 m do półki trawiastej, skąd rysą (VI), a potem przez nżytę z odchyleniem w prawo pod poziomym dach przewieszki (V). Przez przewieszkę jej prawym skrajem (VI) na stopnie. Stąd 4 m w skos w lewo w górę i małym wahadłem w lewo do zacięcia. Nim pod duże zacięcie (IV), którym w górę techniką hakową (H2/3), a następnie w lewo (2 kołki) na platformę. Dalej w górę i przez przewieszkę (V+) na stopień. Z niego w górę z odchyleniem w prawo na wierzchołek.

E. Chrobak i A. Skłodowski

Pośredni Gierlach

W związku z zamieszczonym w „Taterniku” 4/1967 s. 176 opisem drogi na Pośredni Gierlach, chciałbym dodać, że na lewym zboczku byłam 18. VI. 1967 r. wraz z Józefem Olszewskim. Dolny uskok przesłaliśmy wprost (cztery wyciągi o trudnościach IV), a powyżej piarzysto - trawiastego zachodu, którym można zejść do Żlebu Karczmarza, napotkaliśmy na haki i karabinki. Wycofaliśmy się po 6. wyciągu (burza). Według informacji, jakie uzyskaliśmy w HS TANAP, drogę tę robili zimą (czy też chcieli robić) Gálly albo Urbanovič.

Michał Jagiełło

Batyżowiecki Szczyt

W „Taterniku” 3/1967 s. 133 podaliśmy opis drogi T. Piotrowskiego i Z. Prusisza pd. ścianą wprost na Batyżowiecką Igłę. Jak wynika z małej monografii ściany zamieszczonej w „Krásach Slovenska” 10/1967 s. 380—381, dwa lata wcześniej — 3. IX. 1962 r. — mniej więcej tak samo szli J. Cihula i W. Ginzel. Autor artykułu — Stanislav Samuhel — nie zna szczegółów ich przejścia, jednak i czas i trudności odpowiadają temu, co w swym opisie podali Piotrowski i Prusisz.

Z teki Szymona Kobylińskiego



— Miałem podobny moment
przy słabych awansach...

„Światowid”

Taternictwo jaskiniowe

Jaskiniowe lato 1967

W okresie od czerwca do końca listopada odbyło się trzynaście większych wypraw do polskich jaskiń tatrzańskich, z czego Sekcje Taternictwa Jaskiniowego KW zorganizowały sześć, AKG Gliwice dwie, Speleoklub PTTK Warszawa dwie, oraz po jednej — Grupa Tatrzańska GORP, STJ PTTK Częstochowa i Speleoklub PTTK Częstochowa.

Atakowano przede wszystkim jaskinie najgłębsze i najtrudniejsze, położone w masywie Czerwonych Wierchów. Większość wypraw miała charakter „lekkich” — były to głównie akcje jedno- lub dwudobowe. Zmieniła się również technika pokonywania jaskiń: coraz więcej zwolenników zyskała sobie metoda wchodzenia z pomocą „małp”. W trzech jaskiniach — Nad Kotlinami, Ptasiej Studni i Wielkiej Litworowej — dokonano niezwykle interesujących odkryć.

Największym osiągnięciem sezonu jest niewątpliwie zrelacjonowane w poprzednim numerze „Taternika” uzyskanie w Jaskini nad Kotlinami poziomu —320 m, co przesunęło tę jaskinię na zaszczytne drugie miejsce w Polsce pod względem głębokości.

Bardzo ciekawych odkryć dokonano w Ptasiej Studni (por. „Taternik” 1/1968, s. 33), gdzie po raz pierwszy w Tatrach udało się przebyć studnię o głębokości przekraczającej sto metrów (103 m), która jak się okazało była znana już uprzednio z dolnych partii (tzw. „Bazylika”). Studnię tę pokonał J. Grodzicki, kierownik wyprawy Warszawskiego Speleoklubu PTTK.

Kilka dni wcześniej czteroosobowy zespół AKG z Gliwic (P. Gibiński, H. Natkaniec, Ch. Parma i Cz. Wrona) dokonał cennych odkryć w tej samej jaskini poniżej sali Dantego, na głębokości 160 m. Po przebyciu znanej już Studni Flacha udało im się znaleźć dalsze przejście wśród głazów i dotrzeć do dna jaskini nową drogą. W ten sposób można obecnie dno Ptasiej Studni osiągnąć czterema różnymi wariantami: a) starą drogą; b) przez Jaskinię Lodową Litworową; c) drogą warszawiaków przez „Bazylikę”; d) drogą gliwiczian przez Studnię Flacha.

Wreszcie ostatniego odkrycia dokonali członkowie zakopiańskiej STJ, którzy w Jaskini Wielkiej Litworowej odkryli jedną z największych w Tatrach sal i pogłębili w ten sposób jaskinię do —225 m. Największą aktywność w eksploracji wykazali tu: J. Frączek, K. Szafranski i A. Rajwa (wszyscy

z STJ w Zakopanem) oraz Z. Biernacki (STJ PTTK Częstochowa) i B. Lewandowski (AKT Poznań).

Z powtórzeń, najwartościowszym jest bezsprzecznie X przejście najgłębszej jaskini w Polsce, Śnieżnej (—640 m) przez zespół: K. Gąsiecki, P. Gibiński, J. Łączny, H. Natkaniec, Ch. Parma, Cz. Stepowany i K. Tomaszewski (wszyscy AKG Gliwice). Dokonano również przejść jaskiń Lodowej, Lodowej Litworowej, Litworowej (J. Grodzicki i A. Kopeć ze Speleoklubu PTTK w Warszawie) oraz Wielkiej Litworowej (Speleoklub PTTK z Częstochowy).

Do Jaskini Śnieżnej odbyły się również dwie wyprawy szkoleniowe, które osiągnęły głębokość 300 m. Organizatorem pierwszej była STJ PTTK z Częstochowy. Uczestnikom tej wyprawy (Z. Biernacki, J. Goszczyński, J. Owczarek, J. Sitak, A. Wosiński i M. Zelechowski) udało się przekopać zalodzony od dwóch lat korytarzyk wstępny jaskini; Wielką Studnię pokonano w dobrym stylu z pomocą „prusików włoskich”.

Drugą wyprawę szkoleniową do Śnieżnej urządziła w początkach października Grupa Tatrzańska GORP pod kierownictwem M. Gajewskiego (zob. „Taternik” 1/1968, s. 35). Dwunastu uczestników dokonało przejścia jaskini do głębokości 300 m (W. Bartkowski, St. Bukowski, Z. Ciekowski, J. Dziadosz, T. Figus, K. Gąsienica-Byrcyn, Wł. Gąsienica-Roj, J. Hajdukiewicz, M. Jagiełło, A. Mateja oraz A. Rajwa z STJ w Zakopanem i J. Szczygiel z Koła Jaskinioznawczego PTTK w Zakopanem).

Poza wymienionymi wyprawami dokonano przejść jaskiń mniejszych i łatwiejszych — Wysokiej, Niebieskiej Studni, Litworowej Dzwonu, Śpiących Rycerzy, Marmurowej, Miętusiej Wyżniej i innych.

W sumie sezon letni należy uznać za bardzo dobry. Po ostatnich latach „chudych” w taternictwie jaskiniowym znowu zaatakowano wszystkie najtrudniejsze jaskinie tatrzańskie, łącznie z problemami często dotychczas rezerwowanymi przez poszczególne organizacje speleologiczne.

Apoloniusz Rajwa

Zima jaskiniowa 1967/68

W sezonie tym nie odnotowano poważniejszych sukcesów. Odbyte wyprawy sprowadzały się do ponownego przechodzenia znanych, nie najtrudniejszych jaskiń.

W grudniu 1967 roku Speleoklub Warszawski zorganizował wyprawę do Jaskini Zimnej. Jej celem było rozwiązanie problemu eksploacyjnego w ciągu wodnym. Po pokonaniu nurkowaniem Syfonu Ogazy i Syfonu Warszawiaków, zbadano komin biegnący około 20 m w górę. Jego ślepe zakończenie ostatecznie przekreśliło szanse dalszej eksploracji ciągu wodnego.

Na przełomie 1967/1968 roku w Jaskini Miętusiej działały dwa zespoły: jeden STJ KW z Krakowa (kierownik J. Baryła) i drugi Speleoklubu Częstochowskiego. Oba postawiły sobie za cel zejście na dno Kominów Miętusińskich. W trakcie wycofywania się z Kominów zasłabł jeden z uczestników wyprawy Speleoklubu Częstochowskiego. Tylko dzięki szybkiej i skutecznej pomocy akcja ta nie skończyła się tragicznie.

W dniach 6—15 lutego 1968 roku zespół Speleoklubu Warszawskiego pod kierownictwem J. Bzowskiego usiłował przekopać się przez zamulony Syfon Zwolińskich w Jaskini Miętusiej. Błotnisty materiał transportowano w workach do Komory bez Stropu. Nie osiągnąwszy zamierzonego celu przerwano prace ze względu na konieczność odpompowania gromadzącej się wody. Po uzupełnieniu środków technicznych kolejna próba będzie podjęta za rok.

Komisja Tatarnictwa Jaskiniowego w Krakowie zorganizowała w dniach 9—14 lutego 1968 roku wyprawę szkoleniową do Jaskini Kasprowej Niżniej. Zwiedzono całą jaskinię,

a kursanci mieli okazję zapoznać się z trudnościami wodnymi.

Grotolazi z wrocławskiego AKT działalność swoją ograniczyli do zorganizowania wycieczki do Jaskini Czarnej oraz do zwiedzenia górnego piętra Jaskini Zimnej, korzystając wspólnie ze Speleoklubem Warszawskim z założonych w grudniu ubezpieczeń.

Bernard Koisar

Zamiast fluoresceiny

Barwienie wód jaskiniowych silnymi barwnikami chemicznymi pozwoliło rozwiązać niejedną już zagadkę hydrologii tatrzańskiej. Czy podobne metody badań były stosowane również w dawniejszych czasach? Bardzo interesująca pod tym względem jest wydana w roku 1898 (i powtórnie w 1911) „fantazja na tle podań ludowych” Andrzeja Stopki pt. „Rycerze śpiący w Tatrach”. W zawiętej i pełnej personifikacji baśni występuje „Gewont”, który do swej kochanki „Bystrej” (tej znad Kościeliskiej Doliny) podkrađa się jaskinią łączącą Czerwony Wierch (tj. północny grzbiet Małołączniaka) z wywierzyiskiem pod Pisaną. Zagniewany ojciec „Gewonta” — „Gerlach” — chce sprawdzić, czy obydwie dziury rzeczywiście mają podziemne połączenie:

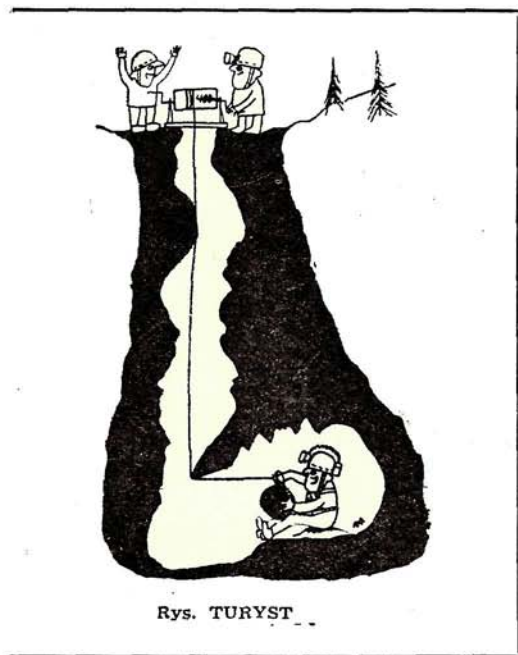
„Zebrała się konwisyja — ciągnie gwarowe opowiadanie A. Stopka. — Wsuli dwa korca siecki pod Czerwonym Wierhe do téj dziury (...) Kcieli pomiarkować, cy ta dziura jest naozajest nawylot i cy Gewont mógł tamtendyj hodzić ku Bystrej. Potem wypatrzowali, cy w Kościeliskak hań przy Pisanej wyndzie siecka. (...) Wysła siecka spod turnie, juści Gerlach namocyl na syna powróz...”

Bajka nie najwartościowsza literacko, ale wiadomie oparta na ludowych wątkach. Może i epizod z badaniem jaskini z pomocą sieczki jest reminiscencją jakichś rzeczywistych, a zapomnianych prób tego rodzaju?

(J. Nyka)

Pierre Saint Martin najgłębsza

Trwająca od kilku lat nowa faza eksploatacji systemu jaskiń Pierre Saint Martin w Pirenejach przyniosła wreszcie spodziewany wynik. Kiedy penetracja partii leżących za salą Verna zatrzymała się na sali Ballandraux, większą uwagę zwrócono na korytarze za Tunelem Wiatru. Rok 1965 przyniósł przejście całej podziemnej „rzeki S. C. Paris” i odkrycie sali Susse’a. Rok 1966 to dalsze odkrycia w tej części jaskini i dotarcie do sali Cosynsa. Prowadzona równolegle na powierzchni intensywna penetracja rozległego łapiazu umożliwiła odkrycie kilku-



Rys. TURYST

nastu głębokich studni. Jedna z nich — nazwana później Gouffre Tête Sauvage — spełniła nadzieje eksploratorów: 23 sierpnia 1966 roku wyprawa Speleoklubu Paryskiego osiągnęła przez nią na głębokości 420 m główny ciąg jaskini tuż za salą Cosynsa.

Po tym odkryciu deniwelacja Gouffre de la Pierre Saint Martin wynosi 1150 m, co daje jej pierwsze miejsce na aktualnej liście najgłębszych jaskiń świata. Jednocześnie długość jaskini wzrosła do ponad dwunastu kilometrów. Eksploracja trwa nadal.

Z Czechosłowacji

Badania jaskini Barazdaláš zapoczątkowano w roku 1953. Kontynuowane w ostatnich latach, między innymi w lecie 1967 roku, doprowadziły one do odkrycia partii o pięknej szacie naciekowej. Jaskinia jest obecnie najgłębszą ze znanych jaskiń CSRS. Grotołazi przewidują możliwość zejścia w niej jeszcze niżej.



Rekordy w Ameryce

Najgłębsza z poznanych dotąd jaskiń Ameryki znajduje się w Meksyku. W górach Sierra Madre Oriental w jaskini Sótano de Tlamaya grotołazi z Teksasu osiągnęli głębokość 454 m (najgłębsza jaskinia USA — Neff's Cave liczy 361 m). Największą jednak rewelacją z Meksyku jest eksploracja przez grotołazów amerykańskich awenu Sótano de las Golondrinas w tym samym rejonie górskim. Otwór tej studni ma wymiary 38x53 m. Po 326 metrach wolnego zjazdu (rekord światowy) osiągnięto dno o wymiarach 122x244 m. Niestety, dalszej eksploracji stoi na przeszkodzie wypełniająca dno woda.

Jaskinie Libanu

W niewielkim Libanie znajdują się najgłębsze z dotąd poznanych i jedne z najdłuższych jaskiń azjatyckich. Rekordzistką pod względem głębokości jest jaskinia Faour Dara w masywie Zaarour, licząca 622 m głębokości i ok. 3 km długości. Na listach najgłębszych

jaskiń świata zajmuje ona miejsce tuż za naszą Śnieżną.

Najdłuższą jaskinią Libanu jest jaskinia Jeita. Wejście do niej, stanowiące wywierzyisko Rzeki Psiej, znane było już Herodotowi. Łączna długość zbadanych korytarzy wynosi 6,6 km, a jaskinia jest udostępniona dla turystów; do największych atrakcji należy przejażdżka 900-metrowym odcinkiem podziemnej rzeki.

Gruzja 1967

Speleolodzy gruzińscy w rewanżu za swą wizytę w Polsce w czerwcu 1967 roku, zaprosili na wrzesień tegoż roku do Gruzji jednąstosobową grupę speleologów polskich. W jej skład weszli: S. Zwoliński (Zakopane), E. Miszczak, S. Jodłowski, K. Piotrowski i P. Wojciechowski (AKT Wrocław) oraz W. Boretti-Onyszkiewicz, J. Rudnicka, J. Bzowski, J. Giżejowski, J. Onyszkiewicz (kierownik) i J. Witkowski (Speleoklub Warszawski PTTK). Wyprawa trwała od 15 września do 30 września 1967 roku.

Gruzja jest najciekawszym i najbogatszym w jaskinie rejonem ZSRR — znanych jest tu ok. 10 000 jaskiń.

Grupa polska po przybyciu do Tbilisi i zapoznaniu się ze stolicą republiki i jej okolicami, udała się do przygotowanego przez gospodarzy obozu pod namiotami przy otworze jaskini Cinckil koło Tkibuli. Jaskinia ta liczy ok. 300 m głębokości i jest drugą (trzecią?) pod tym względem jaskinią w ZSRR. Składa się ona z niezbyt stromo nachylonych korytarzy, przedzielonych kilkoma średnio trudnymi progami, z których najwyższy ma 20 m. 19 września 1967 roku do jaskini weszła grupa złożona z dziewięciu speleologów polskich i dwóch gruzińskich przewodników. Było to drugie w ogóle przejście tej jaskini. Wyprawa przebiegała dość sprawnie. Po kilku godzinach osiągnięto najniższe partie i rozpoczęto odwrót do góry. W czasie odwrotu wydarzył się tragiczny wypadek, spowodowany oberwaniem się chmury i niesłyszanie gwałtownym przybojem wód w jaskini. W jego wyniku poniosła śmierć Witostawa Boretti-Onyszkiewicz, o czym wspominaliśmy w poprzednim numerze „Taternika” (s. 34).

Następne dni wyprawy upływały w nastroju przygnębienia. Janusz Onyszkiewicz odjechał do Polski, pozostali uczestnicy w dniach 22—26 września wzięli udział w VIII Sesji Speleologów Gruzji w Suchumi. W czasie sesji zorganizowano wycieczkę do kilku jaskiń: Andrejewskiej, Abchazkich Speleologów, Abrskil (ok. 12 km długości — jedna z najdłuższych w ZSRR) oraz Iwierskiej (Anakopijskiej). W tej ostatniej trwają obecnie prace nad przystosowaniem jej do zwiedzania turystycznego.

B. Uchmański

Z życia Klubu Wysokogórskiego

Sezon Koła Szczecińskiego

Lato 1967 r. rozpoczęli członkowie naszego Koła już w początkach czerwca. Najciekawszym wynikiem z tego okresu jest I polskie przejście drogi Hauschkego na ścianie Galerii Gankowej. Pierwszą lenią imprezą był obóz szkoleniowy dla początkujących na Hali Gąsienicowej (I-14 VII). Na kursie tym przeszkolenie taterników przeszło 10 osób.

W drugiej połowie lipca T. Piotrowski i Z. Prusisz bawili w masywie Mont Blanc uczestnicząc w kursie lodowcowym. Zapisali oni na swym koncie 4 wspinaczki, m. in. licząc 1200 m wysokości centralny filar południowej ściany Les Droites (4000 m) — uznany za najlepsze osiągnięcie całego kursu. W Kaukazie Zachodnim reprezentowali Koło Szczecińskie Maria i Tadeusz Rewajowie, którzy wzięli udział w radzieckim obozie sportowym. W towarzystwie radzieckich kolegów przebyli oni kilka dróg o trudnościach IV — m. in. na północno-zachodniej ścianie Bielała Kaja i Małym Dombaju. Po zakończeniu obozu weszli na Elbrus (5634 m).

Drugą większą imprezą tatrzańską zorganizowaną przez nasze Koło był obóz szkoleniowo-wycieczkowy na Polanie pod Wysoką (12 VIII-4 IX). Wzięło w nim udział 7 osób: J. Lange, B. Komiczna, T. Piotrowski, Z. Prusisz, F. Wiczorek, J. Kiełkowski i A. Uznański, przy czym ostatnia dwójka reprezentowała Koło Krakowskie. Celem obozu było zapoznanie jego mniej zaawansowanych członków z terenami Doliny Białej Wody i wprowadzenie ich w dłuższe i trudniejsze wspinaczki. Równolegle prowadzona była również działalność wycieczkowa, której wyniki (Młynarczyk i Galeria Gankowa) omówił „Taternik” w numerze 1-1968 s. 169.

Grupa szczecińców przebywała w rejonie Morskiego Oka jeszcze we wrześniu. Z ich udziałem dokonano II przejścia drogi Olszewskiego na Kazalnicy i III przejścia drogi Kurczaba na tejże ścianie. Latem 1967 roku w Tatrach działało ogółem 17 członków Koła Szczecińskiego, w górach wysokich — czterech. Sezon ten stanowi wyraźny krok naprzód w rozwoju naszego środowiska.

T. Piotrowski

Z Bielska Białej

Koło Beskidzkie prowadziło w r. 1967 ożywioną działalność sportową. W okresie 6-12 III 1967 urządzono obóz sportowo-szkoleniowy

w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich (kierownik J. Weigel), którego uczestnicy dokonali m. in. I wejścia zimowego prawą częścią południowo-zachodniej ściany Baranich Rogów. Ładne wyniki przyniósł też letni obóz sportowy w Dolinie Wielickiej (przejścia na Pośrednim Gierlachu, Malej Koniecznej, Hrubej Turni, Litworowym Szczycie i Dragu). Jesiennym obozem sportowo-szkoleniowym przy Morskim Oku kierował K. Opyrchal. 17 członków Koła Beskidzkiego wspięło się latem w Tatrach indywidualnie, a 5 uczestniczyło w zorganizowanym przez ZG KW wyjeździe w Alpy francuskie. Na uznanie zasługuje wyjątkowa intensywność działalności górskiej taterników z rejonu Bielska-Białej, którzy z parodniowego nawet wypadu w Tatry potrafią przywieźć po kilkanaście przebytych dróg. (Red.)

Rozszerzone zebranie ZG KW

10. XII. 1967 r. odbyło się w Warszawie pod przewodnictwem Prezesa Czesława Bajera posiedzenie ZG KW z udziałem delegatów kół terenowych. Szeroko omawiano sprawy finansowe, długą dyskusję wywołał przygotowany przez Koło Warszawskie i zreferowany przez A. Zawadę projekt uchwały normującej prawa i obowiązki członków Klubu, przede wszystkim uczestników i sympatyków. Sporo uwagi poświęcono wypadkom tatrzańskim z lata 1967 r., omówiono też sprawy związane z organizacją SOP oraz działaniem obozów KW w Tatrach.

Warszawa — odczyty

W Kole Warszawskim KW zapoczątkowano w ramach spotkań czwartkowych cykl odczytów mających na celu doskonalenie i podnoszenie kwalifikacji członków Koła. W ramach tego cyklu 11. I. 1968 r. A. Zawada i K. Dzidziowiecki zreferowali temat „Taternictwo zimowe — przygotowanie, taktyka, bardziej polecane rejonu i drogi Tatr Polskich”.

Pozdrowienia z Estonii

Alpiniści estońscy, których w zeszłym roku mieliśmy możliwość gościć w Warszawie („Taternik” 4/1967 s. 178), miło wspominają pobyt w naszym kraju i za pośrednictwem „Taternika” przekazują serdeczne pozdrowienia kolegom i przyjaciółom z Klubu Wysokogórskiego. Wyrażają oni

nadzieję, że w lecie 1968 r. z wieloma z nas będą mogli zobaczyć się w górach Związku Radzieckiego, a zwłaszcza w Kaukazie.

Obozowanie w Tatrach

Zrzeszamy w naszej organizacji 2000 członków; w tym około pięciuset zwyczajnych. Zimą 1968 chcąc obozowania na Słowacji zgłosiło trzydzieści parę osób z całego Klubu. Z tej niewielkiej liczby zaledwie cztery osoby zdecydowały się zamieszkać w namiotach. Reszta w zasadzie opowiedziała się za schroniskiem. Jeśli nawet wziąć pod uwagę pospolite plagi obozowania na śniegu, jak dzwiganie namiotów, większe zużycie paliwa przy przygotowywaniu posiłków, wciskający się wszędzie śnieg, uprzykrzenie mokre rzeczy puchowe i odzież, które nie ma jak podsuszyć — czwórka to jednak niewiele.

Zima jest dla taterników nie tyle przedsięwzięciem, ile jako tak samo samodzielnym, a obozowanie w Tatrach Słowackich niewątpliwie przysparza kłopotów, w porównaniu np. z mieszkaniem przy Morskim Oku. Summa summarum — czy aby nie za mało mamy doświadczonych, czynnych taterników?

Jerzy Jagodziński

KW w liczbach

Według zestawień sporządzonych na dzień 1. I. 1968 r. Klub Wysokogórski liczył 2021 członków, w tym 28 honorowych, 485 zwyczajnych, 820 uczestników i 688 sympatyków. Najliczebniejszym kołem jest w dalszym ciągu Warszawskie, które mimo poważnego zmniejszenia stanu (w r. 1967 — 601 osób) liczy obecnie 477 członków (w tym honorowych 8, zwyczajnych 102, uczestników 181, sympatyków 186). Drugie miejsce zajmuje Koło Krakowskie z liczbą 365 członków (odpowiednio: 6, 89, 88 i 184). Ponad stu członków mają koła: Łódzkie (171, w tym 32 zwyczajnych), Zakopiańskie (148, w tym 57 zwyczajnych), Katowickie (142, w tym 39 zwyczajnych) oraz Trójmiasto (137, w tym 22 zwyczajnych). Najmniejszymi kołami są Pomorskie (26 członków) i Szczecińskie (31 członków).

Można z zadowoleniem stwierdzić, że w wielu kołach poważnie zmniejszyła się liczba członków-sympatyków. I tak np. w ubiegłym roku Koło Warszawskie liczyło 277 członków-sympatyków, obecnie zaś — 186. Koło Łódzkie — 82, obecnie 59. Na zakończenie ciekawostka: do Klubu Wysokogórskiego należy obecnie

405 pań, co stanowi blisko 1/5 ogółu członków. Najbardziej „kobiecy” jest Koło Warszawskie (113), najmniej kobiet zrzesza Koło Sudeckie (4).

Hanna Wiktorowska

Pogrzeb J. Chmielowskiego

29.IV.1968 r. na cmentarzu Katowice-Dąb odbył się pogrzeb nestora taternictwa polskiego, inż. Janusza Chmielowskiego. ZG KW reprezentowała 6-osobowa delegacja. Obecni byli przedstawiciele kół Katowickiego i Krakowskiego. Pczegnalne przemówienie wygłosił przy mogile Prezes KW, Czesław Bajer, podkreślając wyjątkowe zasługi Zmarłego dla naszego ruchu wysokogórskiego i dla kultury polskiej w ogóle.

Stoleczny Klub Tatrzański PTTK

Stoleczny Klub Tatrzański PTTK zorganizował w r. 1967 szereg udanych imprez, na których czoło wysuwa się wyjazd do Jugosławii, a także całokształt akcji szkoleniowej. Wyjazd w góry Jugosławii należy już do do rocznego rytuału SKT i objął w tym roku osób 40. Większość chodziła turystycznie. Natomiast część składająca się z taterników, którzy po raz pierwszy znaleźli się w Alpach Julijskich i Durmitorze, wybierała drogi z pogranicza turystyki i wspinaczki.

Akcja szkoleniowa SKT objęła szeroki wachlarz z zakresu taternictwa turystycznego i turystyki tatrzańskiej: w kwietniu

1967 r. odbył się kurs zimowy zasad turystyki wysokogórskiej w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, w maju i w czerwcu — kurs teoretyczny, połączony z ćwiczeniami na ścianach bunkrów. W lipcu i sierpniu zorganizowano 2 kursy dla początkujących: wspinaczkowy na Gasienicowej oraz wędrowny od Doliny Chochołowskiej do Roztoki. We wrześniu odbył się obóz turystyczny dla zaawansowanych w Dolinie Kieżmarskiej, w październiku — niewielki kurs wspinaczkowy na Hali Gasienicowej, w grudniu zaś — obóz narciarsko-turystyczny w Dolinie Chochołowskiej.

SKT działa w ścisłym kontakcie z Kółem Warszawskim KW, co może stanowić przykład owocnej współpracy dwóch odrębnych organizacji.

Wypadki i ratownictwo

MATTERHORN — „ZJAZD DIAGONALNY”

Podczas czechosłowackiego przejścia drogi Bonattiego na północnej ścianie Matterhornu (4477 m), w dniu 19.III.1967 r. poniósł śmierć jeden z uczestników, świetny wspinacz, Stanislav Lednar, którego ciało pozostawiono na miejscu wypadku. Dopiero w lecie 1967 r. ratownicy szwajcarscy przystąpili do jego wydobywania. Do założenia bezpiecznego stanowiska zjazdowego nadawał się występ zw. „Schulter („plecy” — 4270 m), niestety do zwłok nie można było stąd dotrzeć zjeżdżając wprost w dół. Szwajcarzy opracowali zatem i przeciwiczyli nową metodę — zjazd ukośny („diagonalny”), połączony z trawersowaniem.

W dniu 2.VII rozpoczęto akcję. Pierwsze dwa dni zajęło dotarcie 20 ratowników do schronów „Hörnli” i „Solvay” oraz transport 500 kg sprzętu i ekwipunku, przerzuconych z użyciem 2 helikopterów. W dniu właściwej akcji — 4.VII — ze stanowiska na „Schulter” opuszczono w ścianę z pomocą 2 wind ratowniczych 2 przewodników połączonych z sobą liną perlonową. Po ok. 300 m zjazdu René Arnold i Ruedi Kaufmann zostali zatrzymani. Na sygnał radiowy jeden z nich wykonał trawers ukosem w górę (20 m) i założył 2 rolki do zmiany biegu lin stalowych. Po dociągnięciu do siebie drugiego ratownika, kontynuowali zjazd 60 m w nowym kierunku. Tu nastąpiło drugie trawersowanie w prawo, z umocowaniem w skale drugiej pary rolek i trzecim z kolei zjazdem (70 m) aż do

zamarzniętego ciała Lednara. Teraz pozostało już tylko żmudne zabezpieczenie zwłok i powrót tą samą trasą w górę z pomocą wind obsługiwanych na „Schulter”.

Całkowita długość zjazdu wyniosła 430 m, trwał on 2 godziny i 48 minut. Zwłoki przygotowywano 55 minut, windowanie zajęło półtorej godziny. Pogoda była mroźna i 10 cm świeżego śniegu. Akcją kierował szef CC, Erich Friedli, znany z akcji na Eigerze w r. 1957. W sprawozdaniu z przedsięwzięcia ustosunkował się on do głosów ludzi, którzy uważali, że dla wydobywania zwłok nie warto było podejmować tak skomplikowanej i trudnej operacji. Pomijając względy rodzinne i uczuciowe — napisał on — akcja dała bogate doświadczenia, które może już niedługo pozwolą nowym systemem uratować ze ściany żywego wspinacza.

(Informacja opracowana na podstawie „Krasny Slovenska” 10/1967 oraz „Die Alpen” 12/1967).

Zdzisław Kirkin-Dziędzielewicz

KATASTROFA NA MOUNT MCKINLEY

Masyw najwyższego szczytu Ameryki Północnej był w lecie 1967 r. widownią jednej z największych katastrof w całej historii alpinizmu amerykańskiego. Główny wierzchołek (6193 m) zaatakowała 12-osobowa ekipa,

kierowana przez doświadczonego alpinistę, Joe Wilcoxa. Gdy czwórka wspinaczy szczytów wróciła ze szczytu (48. wejście), wyruszył w górę drugi zespół — tym razem 6-osobowy. Nastąpiło wtedy głębokie załamanie pogody, które trwało kilka dni. W śnieżnej wichurze zginęła cała szóstka, a ponadto alpinista S. Taylor, który zamarzył w górnym obozie — łącznie 7 osób. Przybyli po 10 dniach ratownicy odnaleźli zwłoki 3 ofiar, 4 pozostałych nie udało się odszukać. Od czasu zdobycia w r. 1903 do r. 1967 Mount McKinley pochłonął tylko 4 ludzkie istnienia. („Alpinismus” 3/1968)

„DOM HORSKEJ SŁUŻBY“

W grudniu 1967 r. przekazany został do użytku nowy budynek HS TANAP w Starym Smokowcu, wznoszony od r. 1964. Przeniesiono do niego centralę Pogotowia Górskiego, które zajmowało dotąd bardzo niewygodne lokum w Tatrzańskej Łomnicy. Nowy gmach jest centralnie usytuowany i nowoczesnie wyposażony, m. in. w stację krótkofalową i syrenę alarmową. (A. Kuś)

WITAMINA C A BÓLE MIĘŚNIOWE

W „British Medical Journal” 1966 J. H. Seyd publikuje doniesienie „Muscle stiffness and Vitamin C”. Na podstawie własnej praktyki autor podsumowuje doświadczenia dotyczące działania witaminy C w sensie zapobiegania i łagodzenia bóli mięśniowych, występujących po wysiłku sportowym lub pracy fizycznej.

Seyd wielokrotnie stwierdził, że 500 mg kwasu ascorbinowego, podanego ze sporą ilością płynu przed, i 400 mg po wysiłku, wyraźnie zapobiega bólom mięśniowym w dniu następnym. Jeżeli mimo to wystąpi sztywność i ból, to zanikają one znacznie szybciej przy dalszym podawaniu 200 mg co dwie godziny.

Na podstawie znanej tezy, że witamina C ochrania śródbłonek naczyń włosowatych, Seyd sądzi, iż chroni ona włósniczki przed uszkodzeniem i pęknięciem w czasie pracy, do której wykonują ją nie ma stosownego treningu. Autor przyjmuje poza tym, że witamina C, dzięki swym moczopędnym i oksydacyjnym własnościom, przyczynia się do odtrucia organizmu ze szkodliwych produktów przemiany materii.

J. Hajdukiewicz

Karta załobna



**Janusz
Flach**

Urodzony 3 stycznia 1928 r., od najmłodszych lat samotnie torował sobie drogę w życiu. W okresie okupacji, mimo bardzo młodego wieku, walczył w oddziałach partyzanckich, a po wyzwoleniu rozpoczął studia na Politechnice Warszawskiej. Z tytułem inżyniera podjął pracę w Dyrekcji PKL w Zakopanem, gdzie w ostatnich latach pełnił funkcję kierownika działu technicznego. Zdolny, zawsze pełen inicjatywy, był powszechnie ceniony i lubiany przez współpracowników.

Działalność tatarnicką rozpoczął w roku 1954. Góry pokochał od pierwszego zetknięcia się z nimi i dosłownie każdą wolną chwilę spędzał w Tatrach. Kiedy w kilka lat później wstąpił do Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego, jego pasją stały się jaskinie. Panował wówczas okres intensywnych poszukiwań jaskiń typu awenowego. Janusz miał już za sobą staż tatarnicki, mógł więc przystąpić do penetrowania trudnego skalistego terenu Czerwonych Wierchów. Efektem tych poszukiwań było odkrycie m. in. dwóch wspaniałych jaskiń: Lodowej Muło-

W nocy z 19 na 20 września 1965 r. w czasie wycofywania się z drogi Łapińskiego i Paszuchy na Galerii Gankowej zginęli dwaj tatarnicy zakopiańscy, Janusz Flach i Edward Chelpa. Przyczyną tragicznego wypadku było wyrwanie się haka zjazdowego.

wej i Ptasiej Studni. Eksploracja tej drugiej jest ściśle związana z działalnością Janusza, który ośmiokrotnie kierował wyprawami do jej trudnych technicznie czeluści, wdzierając się w nie metr po metrze. Pamiętamy również z jaką energią i zapałem kierował zimowymi wyprawami do najgłębszej jaskini w Polsce — Snieżnej, gdzie w syfonie na głębokości 640 m jako pierwszy podjął próbę nurkowania z użyciem butli tlenowych. W czasie swej kilkuletniej działalności jaskiniowej odkrył wiele nowych korytarzy i studni. Ślusznie często mawiał, że eksploracja jaskiń — to ostatnie odkrycia geograficzne możliwe jeszcze w naszych czasach, i z całym zapałem szedł coraz dalej i głębiej w podziemne labirynty Tatr.

Chęć zdobywania nietkniętych przez człowieka miejsc przejawiała się również w jego działalności wspinaczkowej na powierzchni. Dokonał kilku pierwszych wejść w Tatrach Zachodnich na ścianach Krzesanicy, Dziurawego i Wielkiej Turni, a w Tatrach Słowackich pokonał dziewiczą partię 600-metrowej ściany Wielkiej Kapalkowej Turni. Pracował również na polu organizacyjnym — jako członek Komisji Taternictwa Jaskiniowego ZG Klubu Wysokogórskiego, a także w Zarządzie Sekcji Taternictwa Jaskiniowego KW w Zakopanem, która w tym okresie przeżywała swój rozkwit. Swoje poglądy na temat dzisiejszego taternictwa wypowiedział w artykule „Taternicy współcześni”, zamieszczonym w „Taterniku” 2/1961 s. 77—79.

W życiu prywatnym zawsze wesoły, towarzyski i uczynny, pełen pomysłów i energii, młodszemu kolegom imponujący doświadczeniem taternickim, żelazną kondycją, zdolnościami organizacyjnymi oraz nieodpartą pasją poznawania najbardziej dziewiczych zakątków Tatr — takiego Janusza wszyscy znaleźmy i takim pozostanie w naszej pamięci.



**Edward
Chępa**

Urodzony 13 X 1944 r., miał zaledwie 21 lat kiedy śmierć zaskoczyła go u stóp ściany Galerii Gankowej. Mimo młodego

wieku pracował i równocześnie kontynuował naukę w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących w Zakopanem.

Uprawianie taternictwa rozpoczął od poznawania jaskiń tatrzańskich — już w wieku 16 lat, kiedy to wstąpił do Koła Zakopiańskiego KW. Prawie od samego początku brał czynny udział w trudnych wyprawach, przeważnie jako uczestnik grup szturmowych. Był współodkrywcą nowych partii w takich jaskiniach, jak Ptasia Studnia, Snieżna, Lodowa Mułowa, Wielka Litworowa i Zimna. Odważnie atakował dotąd nie rozwiązane problemy jaskiniowe; kiedy w czasie akcji trzeba było wykonać trudne i odpowiedzialne zadanie — był zawsze pierwszy.

Równocześnie podnosił swoje kwalifikacje wspinaczkowe, pokonując coraz trudniejsze drogi tatrzańskie — w ostatnim sezonie miał już za sobą m. in. takie przejścia, jak kant Zamarłej Turni czy północno-zachodnia ściana Lodowego Szczytu. Niezależnie od działalności w Klubie Wysokogórskim, był również aktywistą Ogniska TKKF w Zakopanem, gdzie jako przewodniczący Sekcji Turystyczno-Jaskiniowej sam organizował i prowadził wyprawy speleologiczne.

Odszedł od nas w momencie, kiedy dopiero otwierały się przed nim perspektywy odkrywania nieznanych jaskiń i zdobywania najtrudniejszych ścian Tatr.

Apoloniusz Rajwa

Maciej Pogorzelski



Nazywaliśmy go na co dzień wszyscy „Bąblem”. Sylwester lub śmigus przy Morskim Oku nie mogły się udać, jeśli nie uczestniczył w nich Maciek. Jego krępa sylwetka była przez parę lat integralną częścią taternickiego światła w schroniskach i na obozach. Pełen życia, werwy i humoru — był wszędzie mile widziany i wszędzie miał samych tylko przyjaciół...

Urodził się 31 X 1942 r. w Częstochowie, tu w r. 1960 ukończył szkołę średnią. Od wczesnych lat uprawiał turystykę górską, w skałkach Jury Częstochowskiej zetknął się z taternictwem jaskiniowym i odbył pierwsze wspinaczki. Jako członek Speleoklubu Częstochowskiego zwiedził niemal wszystkie jaskinie Jury. W r. 1964 zaczął studia na Wydziale Łączności Politechniki Wrocławskiej i od razu wrócił w tutejsze środowisko taternicze. Pierwsze wspinaczki w Tatrach Polskich i Słowackich odbył w r. 1961, już w następnym poznał Tatry zimną. Jego cechy fizyczne i psychiczne predysponowały go do wielkich sukcesów w górach, intensywnie uprawiał sporty uzupełniające — m. in. gimnastykę i podnoszenie ciężarów. W końcu grudnia 1962 r. dokonał I zimowego przejścia drogi WHP 1018 na Rysach („Taternik” 4/1967 s. 32), w zimie 1963 r. zdobył się już na takie osiągnięcia, jak jednodniowe przejście filara Mięgoszowieckiego Szczytu, a potem i directissimy jego północnej ściany. W lecie tegoż roku wpisał na swoje konto drogę Studniński na Galerii Gankowej oraz pierwsze jednodniowe przejście lewego filara Kazalnicy, w końcu grudnia zaś — dwa pierwsze przejścia zimowe: południowo-wschodniej ściany Cubryny oraz wschodniej ściany Koprowego Wierchu. W następnym sezonie letnim 1964 r. włączył się już do rozwiązywania najpoważniejszych problemów tatrzańskich, jak „directissima” Kazalnicy (6—7 VIII, zob. s. 81) i lewa połać wschodniej ściany Młynarczyka (29 VIII—1 IX, zob. „Taternik” 3-4/1964 s. 113). W roku tym przeniósł się do Warszawy, by rozpocząć tu studia geologiczne. Na wybór tego kierunku wpłynęły w widoczny sposób jego zamiłowania górskie. Mimo intensywniej pracy na uczelni (2 lata studiów w ciągu jednego roku akademickiego) dużo przebywał w Tatrach, gdzie latem 1965 r. dokonał m. in. II przejścia drogi Chrobaka na Kazalnicy Mięgoszowieckiej („Taternik” 3-4/1965 s. 89). Od roku 1964 był ochotnikiem GPR (m. in. udział w akcji na Kazalnicy), w lutym 1966 r. odnowił kontakt ze speologią, biorąc udział w głośnej wyprawie do Szczeliny Chochołowskiej („Taternik” 4/1967 s. 146—148).

W pełni zasłużył na wyjazd w Alpy, które zawsze były jego marzeniem. Wypadek w dniu 10 VIII 1966 r. na Grani Rochefort („Taternik” 3-4/1966 s. 100) przekreślił jego świetnie rozpoczętą karierę sportową, a także bogate plany życiowe. „Najlepsze, co może po człowieku pozostać — to dobre o nim wspomnienie”. Takie o Maćku zawsze będziemy mieli...

Kazimierz Głazek



**Stanisław
Gąsienica
Byrcyn**

Fot. Jan Noder

Dnia 20 września 1967 r. odszedł od nas w wieku lat 80 Stanisław Gąsienica Byrcyn, a wraz z nim odeszła cała niemal epoka pionierów tatrzańskiego narciarstwa i ratownictwa.

Na zakopiańskim Cmentarzu Zasłużonych spoczął ostatni członek-założyciel TOPR, zaprzysiężony 11 grudnia 1909 r., uczestnik 41 wypraw ratunkowych — ten, który znosił ciała Karłowicza i Klimka Bachledy, który w Czerwonych Wierchach szukał Aldony Szystowskiej, a w Złobie Drège'a — Marii Bandrowskiej, który brał udział w wyprawach po zwłoki Gieysztora i Birkenmajera, który tylu ludzi wrócił światu... Obok bogatej karty ratowniczej Zmarły zapisał również piękną kartę przewodnicką. Syn znanego przewodnika, sam od r. 1906 prowadził ludzi po Tatrach — zawsze z humorem, zawsze pełen poświęcenia, energii i dowcipnych pomysłów. II klasę przewodnicką uzyskał w r. 1909, a I w 1911. Niejedno z jego przejść weszło już do historii taternictwa. W r. 1907 towarzyszył M. Zaruskemu w odkrywczej wyprawie do Jaskini Juhaskiej, w 1908 dokonał z klientami I zejścia ze Zmarzłej Przełęczy do Dolinki Pustej (WHP 152). W r. 1910 uczestniczył w I polskim wejściu zimowym na Sławkowski Szczyt, w 1911 — w I wejściu narciarskim na Kościelec, a w 1914 — w I narciarskim przejściu przez Wrota Chałubińskiego. W latach międzywojennych był działaczem Komisji do Spraw Przewodnictwa ST PTT (później KW), w r. 1930 wszedł do zarządu TOPR. Wyjątkowa sprawność fizyczna pozwoliła mu w wieku lat 51 (urodził się w r. 1887) poprowadzić częściowo nową drogę na północnej ścianie Giewontu, w lutym 1945 r. uczestniczył w pamiętnej wyprawie TOPR na stoki Salatynu po rannych partyzantów radzieckich.

W latach powojennych był otoczonym uznaniem i legendą symbolem odległych dla nas czasów — nagabywanym przez dziennikarzy (gadki o akcji ratunkowej po... Le-

nina), a nawet prezentowanym z ekranu (filmy „Błękitny Krzyż” i J. Reissera „Śladami Byrcynowych wspominków”). Za zasługi położone wokół rozwoju turystyki górskiej i ratownictwa odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką PTTK i GOPR, odznaką Zasłużonego Działacza Turystyki. Był członkiem honorowym PTTK, GOPR i Koła Przewodników Tatrzańskich.

Zszedł z nim do grobu szmat historii taternictwa — historii, którą sam swym bogatym górskim życiem współtworzył.

Michał Jagiełło

František Lipták

W wieku 71 lat zmarł w listopadzie 1967 r. wybitny słowacki działacz taternictwa — František (Fero) Lipták. Okres jego

aktywności wspinaczkowej przypada na pierwsze lata międzywojenne, kiedy to stał się również jednym z twórców zorganizowanego taternictwa słowackiego, zakładając w r. 1921 wraz z G. Nedobrym i M. Mlynárčikiem późniejszy (od 1926) „Spolok tatrzańských horolezcov JAMES”. Lipták był działaczem KČST i publicystą górskim. Pisywał głównie w „Krásach Slovenska”, w r. 1942 wydał wspólnie z J. Šimko przewodnik turystyczny „Vysoké Tatry”, wznowiany w l. 1947 i 1948. Od niego też wyszła myśl założenia symbolicznego cmentarza ofiar Tatr. Zestawienie publikacji zmarłego zamieściły „Krásy Slovenska” (1/1968 s. 23), ciepłe wspomnienie poświęciły mu „Vysoké Tatry” (1/1968 s. 2). „Hrob na bratislavskom cintoríne — píše v nim J. Šimko — pokryli vence kosodreviny. Každý, kto ide okolo, vidí, že tam leží človek, ktorý svoj život zasvätil horám”. (jn)

W skrócie

● Tereny krasowe Ameryki Środkowej i Południowej coraz to bardziej przyciągają speleologów zagranicznych. W ostatnich latach urządzono kilkanaście wypraw badawczych i eksploracyjnych do Meksyku, Jamajki, Puerto Rico, Gwatemali, Paragwaju, Boliwii i Peru. Poza grotolazami z USA pierwsze wyprawy zorganizowali speleolodzy włoscy i francuscy.

● Za czasopiśmem „Wiedza i Życie” 9/1967 przytaczamy treść notatki „Alpiniści są odporniejsi na przeciążenia”. Wykonane niedawno badania nieoczekiwanie wykazały, że alpiniści wytrzymują przeciążenie rzędu 11 g (uzyskiwane na wirówce), podczas gdy zdrowy mężczyzna (nie alpiniści) w tych samych warunkach wytrzymuje przeciążenie tylko 9 g.

● Wydawany dotąd technika powielaczową biuletyn UIAA od roku 1968 wychodzi drukiem. Redaguje go G. Tonella (Włochy).

● Miesięcznik „Planinski Vestnik” zamieszcza w numerze 3/1968 informację o polskiej drodze na Les Droites (J. Kurczab i M. Kozłowski — „Taternik” 4/1967 s. 160). Notatkę kończy zdaniem: „Piękna droga — jeszcze jedno wielkie osiągnięcie na koncie światowego prestiżu polskiego alpinizmu”.

● Zachodnioeuropejskie księgozbiory górskie skłótnie gromadzą nasze pismo. Z prośbą o uzupełnienie braków zwrócili się ostatnio do redakcji centrale biblioteki DAV i SAC.

● Jak nas informuje P. Vaarep, alpiniści estońscy będą latem 1968 r. odbywali wspinaczki w Tian-Szaniu (obóz „Talgar”) i w Kaukazie (oboz „Alibek”, „Bzengi”) i „Krasnaja Zwiezda”.

● W marcu 1968 r. II zimowego przejścia drogi Fereńskiego i Uchmańskiego na wschodniej ścianie Mnicha dokonali Wanda Błaszczewicz i Jan Franczuk z Wrocławia.

● Jesienią 1967 r. odbyła się pod Bratysławą konferencja naukowa poświęcona polsko-słowackim związkom kulturalnym. Naukę polską reprezentował m. in. współpracownik „Taternika”, dr Jacek Kolbuszewski.

● Zakończona 1.V.1968 r. wyprawa AKT Gliwice osiągnęła w bocznym ciągu Jaskini nad Kotlinami głębokość ok. 440 m, stając nad kolejną studnią.

● Rysio Szafirski w wywiadzie udzielonym „Trybunie Robotniczej” (5.III.1968) za najtrudniejszą technicznie wspinaczkę życia uznał drogę Philippa i Flamma na Civetote, zaś za najpiękniejszą z wypraw — zeszlaczowy wyjazd w Pamir. Przyznał, że wspinaczka na Szczyt Lenina była „technicznie mniej trudna” od Philippa-Flamma.

● W dzień po polskiej próbie przejścia Filara Walkera (zob. „Taternik” 4/1967 s. 160) zaatakowa-

waly go dwie dwójki czeskosłowackie. Zespół M. Kriššak — J. Weincziller osiągnął wierzchołek w ciągu jednego dnia!

● Telewizja NRD przygotowuje serię filmów pt. „Rote Bergsteiger”, przedstawiającą udział alpiniistów niemieckich w ruchu antyfaszystowskim w latach 1933-36. („Der Tourist” 12/1967)

● Rivista Mensile del CAI 12/1968 zamieszcza wypowiedzi wybitnych alpiniistów i działaczy klubowych na temat ochrony i odbudowy przyrody alpejskiej.

● Piątego przejścia drogi Bonattiego na północnej ścianie Matterhornu dokonali w lipcu 1967 r. czescy wspinacze Kanyar i Vacik. Sprzed Trawersu Aniolów poprowadzili oni własny wielki wariant wprost na wierzchołek.

● Ośmiu taterników czeskosłowackich bawiło od 7-22.X.1967 r. w Wielkiej Brytanii na zaproszenie NAYC i British Mountaineering Council. Wizyta ta była rewanżem za pobyt grupy młodzieży brytyjskiej w Tatrach Słowackich w r. 1965 („Taternik” 3-4/1965 s. 102).

● Opisana na s. 81 direttissima Kazalnicy nie miała do tej pory powtórzenia letniego. Próby — a było ich ok. 7 — zamywały się na ogół na wysokości ścianki problemowej na drodze Cz. Łapińskiego.

Z piśmiennictwa

Kazimierz Sayss-Tobczyk: *Tatry*. Wyd. „Sport i Turystyka”, Warszawa 1988; s. 224 + wkładka; teksty obcojęzyczne, s. 24. Nakład 28 250 egzemplarzy. Cena zł 110.

W serii albumów dra Kazimierza Sayss-Tobczyka ukazała się wreszcie pozycja, na którą czekaliśmy od dawna: „Tatry”. Jest to od wielu lat pierwsza tego rodzaju polska książka poświęcona całemu pasmu naszych jedyńskich gór wysokich. Jej niemiecka wersja – nawiasem mówiąc nie najlepiej przetłumaczona – przeznaczona została na eksport i nie jest sprzedawana w księgarniach krajowych („Dla Tatry” – przekład Małgorzaty Bester).

„Tatry” są albumem fotograficznym: zawierają 221 zdjęć, w ogromnej większości całostroniowych, 48 autorów – przeważnie polskich, także kilku czeskich i słowackich. Tekst ciekawy, pełniący rolę słowa wiążącego, ma funkcję zupełnie podrzędną i stanowi tylko niewielki ułamek objętości książki.

Pierwsze wrażenie przy oglądaniu albumu jest doskonałe: tematyczny dobór zdjęć jest bardzo dobry i nie szablonowy, układ graficzny piękny, technika reprodukcji na wysokim poziomie, korekta niemal bez zarzutu. Jednakże uważniejsze przejście albumu zaczyna budzić zastrzeżenia.

Przed wszystkim zaskakuje doświadczone rozplanowanie całości. Album podzielony jest na rozdziały: W Tatrach Zachodnich, Na polskim Podtatrzu, Dolina Suchoj Wody, Rozтока i Dolina Pięciu Stawów Polskich, Dolina Rybiego Potoku, U źródeł Białki i Popradu, Tatry Bielskie, W dorzeczu Wagu. Trudno się dopatrzeć w tym podziale jakiejś konsekwencji. Pomieszczone są tu kryteria geograficzne i polityczne. Rozdziały: I, III, IV i V omawiają wyłącznie polski obszar Tatr, posuwając się od Tatr Zachodnich ku Wysokim. Rozdział VI, ciągle w Tatrach Wysokich, przenosi nas już od połowy na ich południową stronę. Rozdział VII omawia słusznie wyodrębnioną grupę Tatr Bielskich, natomiast rozdział VIII wraca z powrotem na zachodni krańiec Tatr Wysokich i w Tatry Zachodnie – tym razem od strony słowackiej. Ten ostatni rozdział jest zresztą niezwykle słabo reprezentowany. Wydaje się, że autor przyjął w całym albumie konsekwentnie tylko jedno kryterium podziału, na pewno dla Tatr najmniej istotne – hydrograficzne, i to w dodatku bardzo grubo ujęte: zlewisko Bałtyku – zlewisko Morza Czarnego. Nieporozumieniem jest moim zdaniem rozdział „Na polskim Podtatrzu”, wychodzący poza temat albumu.

Szczegółowe przestudiowanie zarówno tekstu jak i objaśnień po-

szczególnych zdjęć nasuwa niestety, wbrew ogólnemu bardzo dodatniemu wrażeniu, szereg krytycznych uwag. Ponieważ wydanie tego albumu jest dla nas, taterników, swego rodzaju świętem (choć mowa w nim niemal wyłącznie o Tatrach, a nie o taternictwie), pozwolę sobie omówić wszystkie zauważone niedociągnięcia – ziarna goryczy w słodkim cieście.

I tak (s. 11, 2 d) sformułowanie: „Obszar Tatr zamieszkują dwa rodzaje ssaków” – jak wynika z dalszego tekstu są to gatunki nizinne i gatunki wysokogórskie – jest bardzo nieszczyśliwe i niezgodne z terminologią biologiczną. 18, 5 d – nie „Skupniowy Uplaz”, tylko „Skupniowy Uplaz”. 19, 5d – nie ma „Dolinki Jaworzynskiej” – jest dolina Jaworzynka. 32, 1d: w roku 1890 Jan Gwalbert Pawlikowski był młodzieńcem, trudno więc chyba pisać o nim pod tą datą jako o profesorze. Wszędzie pisze autor o dolinach: Rozтока i Pięciu Stawów Polskich oraz Rybiego Potoku jako o dolinach walnych (s. 97, 104, 113). Zgodnie z terminologią geograficzną doliny te nie są walnymi: są odnogami jedynej na tym terenie doliny walnej: Białki. Dość często trafiają się sformułowania niezgrabne, wynikające prawdopodobnie z nadmiernej skrótowności opisu: „lita ściana stawiarska Siklawy” (97, 12–11d); „Głębok, przepaściasty jar Doliny Rozтока przybiera niespodzianie krańcowo inny wygląd” (103, 1) – nie ma tu już (ponad progiem) ani jaru, ani w ogóle Doliny Rozтока; „5 względnie 6 jezior” – czytelnik nie wie w końcu, czy 5 czy 6; „najpiękniejsza z nich” (tak górskich – 140, 2) – wymienione są tylko dwie; „ku Dolinie Koperszadow, którą przecina łagodne siodło Przełęczy pod Kopą” (193, 12–13) – przecież przełęcz nie przecina doliny; Dolina Kościeliska nie jest doliną reglową (s. 31), a Zuberska (s. 211) nie leży na Liptowie.

Groźniejsze są potknięcia, nieścisłości, a nawet błędy w podpisach pod zdjęciami, bo zdjęcia są istotną treścią albumu.

Nazwa „Raptawicka Turnia” (34) używana jest tylko w liczbie pojedynczej. „W drodze na Starorobociński Wierch” (46) nie odpowiada treści zdjęcia: to jest zdjęcie z innej okolicy (poza tym jest nieprzyjemnie przechylone). „Na ścieżce z Równi Królowej przez Hałę Gasienicową” (78) – nie wiadomo po co ta Równia Królowa w ogóle tu na Hali Gasienicowej, gdzie zdjęcie jest wykonane, się znalazła. „Widok z Hali Gasienicowej w stronę kotłiny Czarnego Stawu” (81) – zdjęcie jest zrobione już w samej kotlinie Czarnego Stawu, z jego moreny. Na s. 86 znajdującej się

w podpisie Zmarzłej Przełęczy w ogóle nie ma na zdjęciu, tak samo jak Litworowego Szczytu na s. 160. Fotograf „Masyw Koziego Wierchu” (s. 88) obejmuje górną część zachodniego kotła Doliny Gasienicowej – Zadni Kościelec, Mylną Przełęcz i kawał ściany Zawratowej Turni. Dopiero w głębi wychyla się sam czubek Koziego Wierchu, zlewający się pozornie w jedną całość z ścianami środkowego planu. S. 102 – przy tak szczegółowym wymienianiu szczytów nie powinno się pominąć Zawratowej Turni. S. 111 – zdjęcie efektowne, ale sławnie przechylone. Limba na s. 115 nie rośnie wcale pod granią Skoruśniaka, tylko gdzieś w okolicy progów Czarnego Stawu. Określenie zdjęcia Zadniego Mnicha (123) zrobione go ze skraju Galerii Czubryńskiej, jako „od strony Doliny z Mnichem” jest co najmniej mało precyzyjne, podobnie jak zdjęcie Małego Kiezmarskiego Szczytu (190), zrobione gdzieś z Holicy Bielskiej jako „od strony Zielonego Stawu Kiezmarskiego”. Przy zdjęciach na stronach 148 i 176 powinno się zaznaczyć, że szczyty wymienione są od prawej ku lewej, a więc w porządku odwrotnym do normalnego przyjętego. Zdjęcie na s. 153 nie jest zrobione z nad Szataniego Stawku, ale z nad Małego Stawu Hińczowego. Zdjęcie na s. 161 przedstawia Zwalistą Turnię, Staroleśną (w ogóle nie wymienioną) i Rogatą Turnię, natomiast Grana-tów Wielickich wcale na nim nie ma. Na s. 218 to nie Wołowiec od strony Rakonia, ale górne piętro Doliny Jamnickiej i Rohacz Ostro, sfotografowany spod grani między Łopatą a Wołowcem.

Zestaw zdjęć, zgodnie ze stałą zasadą autora, jest w ogromnej większości zupełnie nowy. Jedynie 3 zdjęcia są powtórzeniami z „Tatr Polskich”, a 7 innych oglądaliśmy już w I tomie „W skałach i lodach świata”. Nie uważam tego zresztą za coś niedopuszczalnego, tym bardziej, że niektóre z tych zdjęć są naprawdę pierwszorzędne.

Mocno dyskusyjne jest natomiast dołączenie do albumu tłumaczenie obejmujące króciutki wstęp i podpisy pod zdjęciami w czterech językach (angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim). Ze względu na brak miejsca wytknę tu tylko zasadniczą niekonsekwencję, jaką jest tłumaczenie, w szczególności w tekście angielskim, szeregu nazw polskich z terenu polskiej części Tatr na terminologię angielską, co daje takie tworki jak „Upper Monks Tarns (Wyżnie Mnichowe Stawki)”, „Little Empty Valley” (Dolinka Pusta) czy „Tom’s Needles” (! – Tomkowe Igły), może śmiesznie dla nas brzmiące, ale

pozwalające zagranicznemu czytelnikowi wczuć się w sens nazw tatrzańskich, natomiast pozostawienie wszystkich tego samego typu nazw po stronie słowackiej w ich słowackim brzmieniu. W prawie wszystkich tłumaczeniach mamy dodatki „Five Polish Lakes”, „les cinq lacs polonais”, „fünf polnische Seen” — ale równocześnie wszędzie tylko „Pat” spiskujących plies’.

Wydać mi się, że cała sprawa albumu została zarówno przez autora jak i redakcję potraktowana dosyć bez troski. Maszynopis długo leżał w wydawnictwie — przez ten czas można było dać go do naprawdę fachowej recenzji, żeby usunąć błędy i uniknąć po wydrukowaniu takiego omówienia, jakie jestem zmuszony napisać teraz. Wydaje mi się, że autor albumu zawierzył też zbyt — autorom poszczególnych zdjęć. Lista ich obejmuje nazwiska zarówno pierwszorzędnych taterników, jak i bardzo dobrych fotografików, na pewno miłośników, ale nie zawsze najlepszych znawców Tatry, a błędy w opisach zdjęć trafiają się u jednych i u drugich.

To obszerne i miejscami krytyczne omówienie nie ma na celu obniżania wartości naprawdę pięknego dzieła, jakim są „Tatry”, ani umniejszania uznania dla jego autora — członka honorowego Klubu Wysokogórskiego. Wyraża tylko żal, że to co jest bardzo dobre nie jest jeszcze lepsze, choć wydaje mi się, że mogło być.

Ryszard W. Schramm

Stefan Jarosz: W górach Ameryki Północnej. Słowo wstępne — Stanisław Leszczycki. Wyd. „Sport i Turystyka”, Warszawa 1967; s. 93. Cena zł 15.

W sam raz przed 10 rocznicą śmierci autora (marzec 1958 r.) ukazała się jego praca, powstała z materiałów zawartych w tece, a przeznaczonych do książki, której nie zdążył ukończyć. Przygotowała je żona zmarłego, Krystyna Jaroszowa. Stefan Jarosz, urodzony w r. 1903, był geografem i leśnikiem, od 1955 r. docentem, kierownikiem Zakładu Biogeografii UW. W latach 1927, 1935-6 i 1936 odbył trzy wyprawy do USA, gdzie przeprowadził pionierskie badania Wyspy Kościuszki, dokonując m. in. pierwszego wejścia na Mount Francis (918 m), najwyższy szczyt wyspy. Był też na Grand Teton (4196 m) w Górach Skalistych, na Mount Rainier (4391 m), podjął nawet próbę wejścia na Mount McKinley (6193 m). W książce swej Jarosz opisuje wszystkie trzy wyprawy poświęcając szczególnie wiele miejsca wędrowcom górskim na terenie Alaski i zachodniej Kanady, wzmiankuje też odwiedzone przez siebie Aleuty, gdzie na wyspie Unalaska wszedł na Pinnacle Peak. W sumie jest to żywa i barwna relacja ze stron, gdzie Polaków bywało niewiele, a liczne punkty odwiedził zapewne tylko jeden: autor. Jego osobie i dorobkowi postaramy się poświęcić w najbliższym czasie osobny materiał. (a. chow.)

Tatry i Pieniny. Podziałka 1:75 000. Wyd. PPWK, Warszawa 1967. Cena zł 10.

Trudno policzyć, które to już wydanie tej popularnej i wielce pożytecznej mapy, wychodzącej od r. 1958. Niestety, ciągle jeszcze obarczone drobnymi błędami. Pod Rohaczami pozostała sygnatura schroniska „Tatliakova chata”, mimo iż schronisko spłonęło w r. 1963. Nazwę „Tichy vrch” pozostawiono przy p. 1943 m, choć i Słowacy odnoszą ją do p. 1980 m (por. „Vysoké Tatry” 5/1966, s. 28). W Pieninach pokutuje „Marcelak” zamiast Macelaka oraz „Zlatne” i „Branisko” zamiast Cisówki i Żaru. W wydaniu tym po raz pierwszy wkroczyły do naszej oficjalnej kartografii turystycznej nowe wysokości słowackich szczytów tatrzańskich.

(jn)

Tatrzański Park Narodowy. Podziałka 1:30 000. Wyd. PPWK, Warszawa 1968. Cena zł 15.

Kolejne wydanie mapy Tatry Polskich, której pierwszą edycję odnotowaliśmy w zeszycie 3-4/1963 „Taternika”. Tu — rzecz dziwna — słowackie pomiarów szczytów nie uwzględniono, jakkolwiek treść arkusza została wyraźnie zaktualizowana. Nie poprawiono też wędrującej przez kolejne wydania błędnej wysokości Przełęczy Kondrackiej (1772 zamiast 1722 m). Czy na Tomanową Przełęcz wyprowadzają rzeczywiście znakowane szlaki? (jn)

Notatki i ciekawostki

JUBILEUSZ DRA HAJDUKIEWICZA

W r. 1967 dr Jerzy Hajdukiewicz obchodził 30-lecie swej bogatej działalności górskiej, zapoczątkowanej na grani Kościelca, a ukoronowanej udziałem w dwóch wyprawach himalajskich (1958 i 1960). Podczas uroczystego wieczoru w zakopiańskim „Domu Turysty” w dniu 25.XI mgr Jerzy Ustupski wręczył jubilatowi nadany mu przez GKKFiT Medal 100-lecia Sportu Polskiego. Następnego dnia odbyło się na polanie Strążyska przyjacielskie spotkanie, połączone z pieczeniem baranów. Związany z górami życiorys dra Hajdukiewicza wypełniłby niejedną kartę „Taternika”, tu przypomnijmy więc tylko, że jest on jednym z najstarszych współpracowników naszego pisma, zaś w latach wojny był twórcą i redaktorem „Taternika” Klubu Wysokogórskiego „Winterthur”.

ALPINIADA W KANADZIE

Niemal że równolegle ze słynną radziecką alpinadą w Pamirze, na przeciwległej półkuli odbywała się podobna impreza jubileuszowa — zorganizowana przez Canadian Alpine Club dla uczczenia setnej rocznicy zaćmów niepodległego bytu Kanady, a także 100-lecia zakupienia Alaski. Rejonem alpinady był jeden z najdzikszych i najpotężniejszych masywów górskich Ameryki — Góry Św. Eliasza (St. Elias Mountains), rozciągające się na granicy Kanady i Alaski (najwyższy szczyt: Mount Logan, 6050 m). W alpinadzie uczestniczyło 260 wysokogórców, którzy zdobyli przeszło 20 dziewiczych szczytów o wysokości 3000—3800 m. Najwyższym z nich był południowy wierzchołek (4800 m) Mount Vancouver, na który I wejścia dokonały dwa czwórkowe zespoły — amerykański i kana-

dyjski, nadając mu nazwę „Good Neighbour Peak”. Część grupy szturmowej przetrawasowała 2,5-kilometrową granią do Mount Vancouver (4850 m). Dwunastu dotąd bezimiennym szczytom nadano nazwy prowincji i terytoriów kanadyjskich, trzynastemu — miano Centennial Peak (Szczyt Stulecia). W wielkiej imprezie uczestniczył m.in. lord John Hunt.

Z HIMALAJÓW

British Parbati (Kulu) Expedition 1967 zdobyła 3 lipca dziewiczy szczyt Papsura (6451 m), atakowany już w r. 1965. Wejścia dokonali Hill i Pritchard — prawym żłebem południowej ściany, po zaawansowanej próbie żłebem lewym, z którego osiągnięto grani, nie zdołano jednak dotrzeć do wierzchołka. O wielkim zwycięstwie może mówić trzyosobowy zespół, który wycofując się po tej próbie spadł lodowym stokiem 500 m do szczeliny brzeżnej, przy czym tylko jeden alpinista odniósł — niegroźne zresztą — obrażenia. („Mountaineering” 2/1967)

DENT BLANCHE

W „Taterniku” 3—4/1966 s. 130 pisaliśmy o direttissime małżeństwa Vaucher na północnej ścianie Dent Blanche. 31.I.1968 r. drogę tę zaatakował samotnie C. Bournissen, jeden z uczestników I zimowego przejścia ściany Piz Badile. Drobną kontuzją 180 m poniżej szczytu zmusiła go do odwrotu i zejścia w dół całą ścianą, którą idąc w górę przeznornie ubezpieczył. Powtórny atak w dniu 29.II powiódł się, a przejście należy do najciekawszych osiągnięć zimy alpejskiej 1967/68.

„TATRY WYSOKIE” W. H. PARYSKIEGO

W początku r. 1968 pojawiło się w sprzedaży 8 tomików przewodnika taternickiego „Tatry Wysokie” W. H. Paryskiego (części I—VIII). Jest to przedruk fotograficzny wydania I z lat 1951—1956 — bez jakiegokolwiek aktualizacji. Użycie wysokiej klasy papieru biblijnego pozwoliło dość znacznie zredukować grubość poszczególnych książeczek. Autor opracowuje obecnie suplementy, które zostaną wydane oddzielnie.

SAMOTNE PRÓBY W ALPACH

Pod koniec udanego sezonu zimowego 1967/68, masyw Grandes Jorasses stał się widownią jeszcze jednego pasjonującego wydawnictwa. Mianowicie 15.III.1968 r. Francuz P. Desailoud zaatakował samotnie „Całun”, w dniach 16—25 I 1968 przebyty częściowo przez R. Desmaisona i R. Flemattyego. W tym samym czasie J. Sangnier — nasz dobry

znajomy z Piz Badile (por. s. 67) — wszedł również samotnie w Filar Croza. W dniu 19.III alpinści osiągnęli wysokość ok. 3600 m, jednak następnego dnia warunki atmosferyczne zaczęły się pogarszać. Próbowali przeczekać niepogodę — niestety bez skutku. 22.III (ciągle niezależnie od siebie) zdecydowali się na odwrót wzywając pomocy.

A. Skłodowski

WŁOSI W ANDACH BOLIWI

Jedną z bardziej efektywnych wypraw andyjskich roku 1967 była mała Spedizione CAI-Uget di Torino, która działała w Cordillera Real. Po wejściach aklimatyzacyjnych na wierzchołki 5305 i 5610 m, alpinści włoscy dokonali wejść na najwyższe szczyty 3 masywów — Nevado Chicani (5815 m), Huayna Sur (5715 m) i Condoriri (5656 m) — drogami o wysokich trudnościach technicznych, przede wszystkim lodowych. Najwyżej oceniane jest wejście wschodnią ścianą na piękną piramidę Condoriri, zdobytą po raz pierwszy w r. 1941 (W. Kühm). W skład wyprawy wchodziło 4 Włochów, do nich dołączyło się 2 andynistów boliwiańskich oraz mnich salezjański. Cały bagaż wyprawy ważył tylko 350 kg, oczywiście bez żywności, którą zakupiono na miejscu. W celu maksymalnego skrócenia aklimatyzacji, w okresie miesiąca poprzedzającego działalność w górach aplikowano uczestnikom silne dawki witaminy E. Wyjazd z Włoch nastąpił 21.VI, w dniu 26.VII już zwijano ostatnie obozy i rozpoczęto zejście z gór. Przebieg wyprawy omawia G. Agnolotti w „Rivista Mensile del CAI” 12/1967.

NASI WSPÓŁPRACOWNICY

Przygotowany do druku spis treści rocznika 1967 „Taternika” jest jednocześnie małą statystyką autorską naszego pisma. W 4 zeszytach zamieściliśmy 75 artykułów, pióra 52 autorów, przy czym ilościowy rekord należy do J. Kurczaba (5 artykułów), a spośród współpracowników zagranicznych — do G. I. Szałajewa (3 artykuły). Ogółem — wliczając podpisane bądź sygnowane notatki — współpracowało z „Taternikiem” okrażyło 100 autorów, w tym 9 pań. Najwięcej materiałów (po 8) przypada na J. Kurczaba i J. Kowalczyka, na dalszych miejscach plasują się M. Koźłowski i M. Popko (po 7) oraz M. Jagiełło i A. Paczkowski (po 6).

TRZY RAZY SIEDEM

Noszak (7492 m — 1960), Kuh-e Tez (ok. 7000 m — 1962) i Szczyt Lenina (7134 m — 1967) — oto trzy szczyty siedmiotysięczne, które ma w swoim dorobku Stanisław Biel,

rekordzista pod tym względem wśród wszystkich alpinistów Krajów Demokracji Ludowej. W Polsce na drugim miejscu znajduje się Marian Bała ze szczytem Kuh-e Tez (1962) i Noszakiem (1966), ten sam dorobek miał Jerzy Krajski (1962 i 1960). Szczyty takie, jak Kuh-e Nadir Szach, Kuh-e Keszniczan czy Languta-i Barfi zbyt wyraźnie wypadają z kategorii siedmiotysięczników, by mogły być brane w rachubę.

POLACY I MONT BLANC

„Rivista Mensile del CAI” 1/1968 w rubryce „Elementi di cronaca alpina” publikują listę najwybitniejszych dokonań w masywie Mont Blanc w latach 1963–1967. Wymienione są w niej trzy osiągnięcia polskie: II wejście centralnym Filarem Fréney (1963), II wejście Wielkim Filarem Narożnym (1965) oraz udział E. Chrobaka w I zimowym przejściu „Pilone Bocalatte” Mont Blanc du Tacul (1967). Nazwiska naszych kolegów są jedynymi nazwiskami słowiańskimi w tym zestawieniu, a zarazem jedynymi z całej grupy krajów demokracji ludowej. W 150-lecie wejścia A. Malczewskiego na Mont Blanc szczególnie miło nam to odnotować.

ALPINIZM W „ŚWIATOWIDZIE”

Okazały i bogato ilustrowany artykułami pokwitował magazyn turystyczny „Światowid” nasze główne osiągnięcia lata górskiego 1967. Oto one: „Eperon Oriental” — M. Kozłowski o nowej drodze na Les Droites (19.XI.1967), „Trzystu jeden idzie na szczyt” — E. Chrobak o Piku Lenina (26.XI.1967), „Tam, gdzie rozbiła się arka Noego” — A. Kuś, o górach Turcji (17.XII.1967) oraz „Zwyciężeni bogowie” — Sz. Wdowiak o wyprawie PKG w Ałtaj Mongolski (25.II.1968).

SYMBOLICZNY GRÓB J. POTOCKIEGO

W dniu święta zmarłych, 1.XI.1967 odbyła się na cmentarzu w Kabulu uroczystość odsłonięcia nagrobka upamiętniającego śmierć Jerzego Potockiego na stokach Noszaka w r. 1966. Wykuty w skale symboliczny nagrobek został ufundowany przez miejscową Polonię oraz ambasadę polską w Afganistanie.

EKSPLORACJA HINDUKUSZU

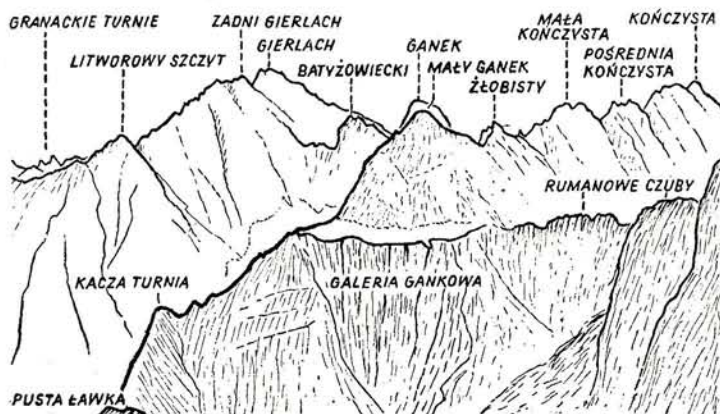
Artykuł pod powyższym tytułem pióra dra B. Chwaścińskiego ukazał się w tomie LXXI, nr 313 brytyjskiego „The Alpine Journal” (s. 199–214). Rozprawa ta — rozmiarami niezbyt duża — jest wzorem syntetycznego opracowania rozległej jednostki geograficznej, z uwzględnieniem topografii, historii odkrycia i przebiegu zdobycia — aż po r. 1965 włącznie. Cenne uzupełnienie stanowi wklejona w tom mapa Hindukuszu, rozmiarów 18×30 cm (opracowanie autora) oraz 6 efektownych zdjęć, m. in. B. Maca, R. W. Schramma, V. Sedivy’ego i M. Bały. Dr Chwaściński kończy artykuł zdaniem: „Istnieją pewne partie Hindukuszu — bynajmniej nie małe — dotąd nie zbadane; ale sądząc z ostrego tempa eksploracji, jaka ma miejsce w ostatnich paru latach nawet i w tych częściach — wkrótce i one ulegną penetracji ludzkiej”.

FOTOREPORTAŻ Z SZCZYTU LENINA

W wychodzącym od niedawna radzieckim miesięczniku „Turist” ukazał się w numerze 12/1967 piękny fotoreportaż z alpinisty „Pik Lenin 1967”. Jedno z dużych kolorowych zdjęć przedstawia na szczycie zespół Klubu Wysokogórskiego w towarzystwie jednego z reprezentantów CSRS. Autorem fotoreportażu jest E. Krawczuk.

Ze szczytu Niżnich Rysów otwiera się na południowy wschód jedna z najbardziej alpejskich panoram tatrzańskich. Jej fragment zdobi okładkę niniejszego numeru naszego pisma. Na rysunku objaśnienie treści widoku — według zdjęcia E. Piątkowskiego, zamieszczonego w „Taterniku” 2/1961 s. 108.

Rys. Józef Nyka



Taternik

Орган Польского Высокогорного Клуба
Organ of the Polish High Mountain Club
Revue du Club Polonais de Haute Montagne
Organ des Polnischen Hochgebirgsklubs

Том, volume, Jahrgang: XLIV (1968) No 2(199) Редактор, editor, rédacteur: Józef Nyka,
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 41-07-87 (Pologne).

СОДЕРЖАНИЕ

Игнацы Домейко (1802—89) в Андах (Э. Эче- варриа Ц.)	50
Польские альпинисты на семитысячниках мира (Е. Вала)	53
Пик Енгельса по северо-восточной стене (Г. И. Шалайев). Первовосхождение «Спарта- ка» в 1964 году	56
Вторая Польская Экспедиция в Высокий Ат- лас (Э. Темлак)	58
Польские альпинисты в районе Бэргелл в 1967 году (Х. Фурманик)	64
Пиц Вадиле 1937—1963 (А. Станок)	65
Пиц Вадиле по северо-восточной стене (А. Скłodowski)	67
Зимой по северо-восточной стене Эгюий Вланш в Альпах (Я. Поремба)	69
«Панорама Татр» (А. Хованьски)	70
Раптавица Турния зимой (Б. Ухманьски)	74
Зимой на северо-восточной стене Казални- цы (В. Едлиньски). Первовосхождение по пути Хробака	77
Международный съезд альпинистов из со- циалистических стран в Татрах (А. Мроз)	79
Восходители Эстонской ССР (П. Вареп)	80

Новые пути в Татрах — 81. Исследование пе-
щер — 83. Горноспасательная служба — 87. Тра-
урный листок — 88. Из литературы — 92. Запис-
ки — 93.

Summary

Ignacy Domeyko in the Andes (E. Echevarría).	
The Polish scientist I. Domeyko (1802—89) as a forerunner of mountain climbing in the Andes	50
The Poles on the Summits of 7 Thousand Me- ters (J. Wala)	53
The Pik Engels in the Pamirs from the Nord- east (G. I. Shalayev). First ascent made by Russian climbers in 1964	56
The 2nd Polish High Atlas Expedition (E. Tem- lak). Toubkal region, 1967	58
The Poles in the Bergell Alps in 1967 (H. Furmanik)	64
Piz Badile from the Northeast — the Polish Ascent (A. Skłodowski)	67
Winter Ascent of Aiguille Blanche de Peuterey North Face (J. Poręba)	69
„Panorama of the Tatras” — the Biggest Paint- ing of the Tatras (A. Chowański). Dimen- sions 120 × 16 meters, exposed in Warsaw in 1896—99	70
The Kazalnica, January 1968 (W. Jedliński). The first winter ascent by the Chrobak route	77
New Routes in the Tatras — 81. Caving — 83. Mountain Accidents, Mountain Rescue — 87. In Memoriam — 88. Notes — 91. Books and Publi- cations — 92. Information — 93.	

Inhaltsverzeichnis

Unser Weg führt über Aiguille du Midi (J. Nyka)	49
Ignacy Domeyko (1802—89) ein Pionier des Al- pinismus in den Anden (E. Echevarría C.)	50
Polnische Bergsteiger auf Siebentausendern (J. Wala)	53
Pik Engels direkt über die Nordostwand (G. I. Szalayew)	56
Zweite Polnische Atlas-Expedition, 1967 (E. Temlak)	58
Im Alleingang zum schneebedeckten Toubkal (A. Mroz)	62
Polnische Bergsteiger in der Berninagruppe (H. Furmanik)	64
Badilewand 1937—1963 (A. Stanoch)	65
Badilewand, polnische Begehung (A. Skłodow- ski)	67
Im Winter durch die Aiguille-Blanche-de-Peute- rey-Nordwand (J. Poręba)	69
„Panorama der Hohen Tatras” — das grösste Gemälde in der Geschichte der Tatra-Ma- lerlei (A. Chowański)	70
Kazalnica, Januar 1968 (W. Jedliński). Erste Winterbegehung der Chrobak-Führe — W. Jedliński und T. Piotrowski, 20-23.I.1968	77
Alpinismus in der Estnischen SSR (P. Varep)	80
Neue Führen in der Tatra — 81. Höhlenforschung — 83. Bergunfälle und Bergrettungsdienst — 87. In memoriam — 88. Kurz notiert — 91. Schriften- schau — 92. Alpine Umschau — 93.	

Sommaire

La voie conduit par l'Aiguille du Midi (J. Ny- ka). Les succès de l'hiver 1967/68 et le 150-aire de l'alpinisme polonais (A. Malczew- ski — la première de l'Aiguille du Midi, 1818)	49
Ignacy Domeyko dans les Andes (E. Echevar- ría C.)	50
Les Polonais sur les sommets de 7000 mètres (J. Wala)	53
Le Pic Engels directement par la face nord-est (G. I. Szalayew)	56
La Deuxième Expédition Polonaise dans le Haut Atlas en 1967 (E. Temlak)	58
Le camp polonais dans la Val Bregaglia (H. Furmanik)	64
Piz Badile — paroi nord-est (A. Skłodowski)	67
La deuxième ascension hivernale de la paroi nord de l'Aiguille Blanche de Peuterey (J. Poręba). 10.III.1968 — J. Kozłowski, J. Mi- chalski, J. Poręba et A. Zawada	69
„Panorama des Tatras” (A. Chowański)	70
Première ascension hivernale de la Raptaw- icka Turnia (B. Uchmański)	74
Kazalnica, janvier 1968 (W. Jedliński). La pre- mière hivernale de la voie Chrobak	77
L'alpinisme dans la République Estonienne de l'URRS (P. Varep)	80
Nouveaux ascensions dans les Tatras — 81. Spele- ologie — 83. Les accidents dans les montagnes — 87. In memoriam — 88. Petites nouvelles — 91. Livres et revues — 92. Notes diverses — 93.	



Z gór Cilo Dag w Turcji. Lodowiec Geliashin.

Fot. Andrzej Mróz

Taternik

**ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POŚWIĘCONY SPRAWOM
TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII.**

Redaktor: Józef Nyka
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18

Zastępca redaktora: Jan Staszal
Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7

Komitet Redakcyjny: Ryszard Gradziński,
Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm,
Jan Alfred Szczepański i Piotr Żółtowski.

Redaktor graficzny: Jerzy W. Cieślak

Adres Redakcji:
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18,
tel. 41-07-87

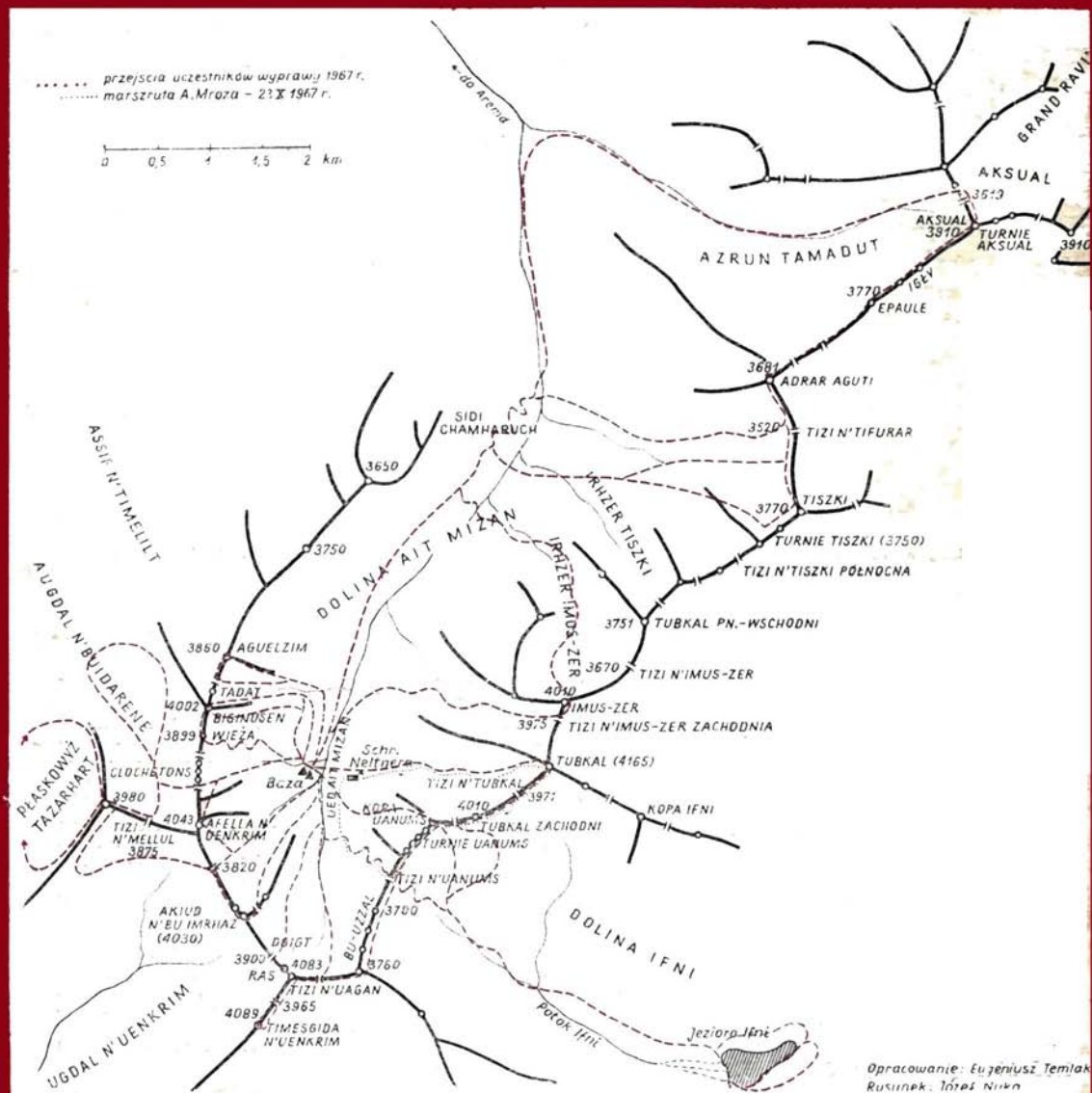
Adres Klubu Wysokogórskiego:
Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439,
tel. 26-69-56

WARUNKI PRENUMERATY:

Cena prenumeraty: półrocznie — zł 20, rocznie — zł 40. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą również dokonywać wpłat na konto PKO nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH” — Warszawa, ul. Wronia 23. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „RUCH”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki zagranicznej, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH”, Warszawa, ul. Wronia 23 — konto PKO nr 1-6-100024, tel. 20-46-88. Egzemplarze archiwalne można nabywać (zamawiać) w redakcji, biurze Klubu Wysokogórskiego lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „RUCH” — Warszawa, ul. Nowowiejska 15/17 na miejscu lub na zamówienie za zaliczeniem pocztowym.

WYDAWCA:

RSW „Prasa” Wydawnictwo „Prasa Młodzieżowa i Sportowa” — Warszawa 10, ul. Bagatela 14. Telefon dyrektora: 28-09-73. Działu Wydawniczego: 29-35-52. Biuro Ogłoszeń: ul. Mokotowska 24, tel. 21-12-04. Cena ogłoszenia 1 cm² zł 10.
P. Z. G. RSW „Prasa”, Al. Jerozolimskie 125/127.
Zam. 1246. N-64.



MASYWY TUBKAL, UENKRIM i AKSUAL, BASEN DOLINY AIT MIZAN

WYDAWNICTWO „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA” RSW „PRASA”

www.pza.org.pl

CENA 10 ZŁ